M. B. im. L. W. w Łodzi

W numerze: Prezentacje – Bolesław Koperski • KONRAD FREJDLICH Białe plamy • EWA NURCZYŃSKA Film społeczno-polityczny • MIECZYSŁAW WOŹNIAKOWSKI Ze wspomnień szkolnych • Recenzje • Felietony • Nowela kryminalna

odgłosu

47 (731)
21. XI. 1971 r.
Cena 1,50 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XIV

Fot. A. Wach

WITAMY

PRZEDZJAZDOWĄ KONFERENCJĘ ŁÓDZKIEJ ORGANIZACJI PARTYJNEJ PZPR

Przez kilka tygodni byliśmy świadkami i aktywnymi uczestnikami dyskusji, która ogarnęła wszystkie kręgi naszego społeczeństwa, wyzwoliła nowe pokłady zaangażowania i twórczej, politycznej i gospodarskiej inicjatywy. Na licznych zebraniach w fabrykach, przedsiębiorstwach, w środowiskach naukowych i twórczych — wszędzie tam, gdzie toczy się praca bez względu na to czy jest ona wysiłkiem mięśni czy też umysłów, w gorącej niekiedy kontrowersyjnej, a nawet — bywało — nie liczącej się z aktualnymi realiami, „na jutro" prowadzonej dyskusji, zgłaszano liczne wnioski i postulaty.

Wzbogaciły one wiedzę delegatów wybieranych przez organizacje partyjne na VI Zjazd PZPR, wskazując nie tylko — co jest niezwykle istotnym rysem tej ogólnonarodowej debaty — potrzeby, ale przede wszystkim właściwe, zbieżne z programem partii i odczuciem społeczeństwa kierunki działania, możliwości tkwiące w nas samych.

Tak zaowocował program przedłożony narodowi, partyjnym i bezpartyjnym, na VII i VIII Plenum KC PZPR, a którego syntezę i rozwinięcie — właśnie z myślą o jutrze — stanowią „Wytyczne o dalszy socjalistyczny rozwój Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej" przyjęte na XI plenarnym posiedzeniu Komitetu Centralnego partii.

Jest to podstawowy dokument określający społeczno-gospodarcze cele dalszego rozwoju naszego kraju i wokół jego węzłowych tez koncentrowała się ogólnonarodowa debata.

Ale my, na naszym łódzkim „podwórku", mamy jeszcze jeden dodatkowy powód do rozwijania dyskusji, a nade wszystko — konstruktywnego działania: realizację Programu Modernizacji Łodzi.

Nie trzeba tutaj przytaczać liczb, za którymi kryją się nowe fabryki, miejsca pracy, więcej nowoczesnych mieszkań, lepsza komunikacja, sprawniej działający handel, rozwój nauki, kultury i oświaty, poprawa warunków życia i pracy. Liczby te stały się już własnością wszystkich łodzian, przejętych troską o swoje miasto.

Z tej troski rodziły się też pytania: co trzeba zrobić, ulepszyć, jak wzmocnić siłę oddziaływania partii na całe społeczeństwo i jego aktywność, które dziedziny naszego życia nie zdołały się jeszcze wyzwolić ze starych nawyków, schematów myślenia i nie spełniają przez to wymogów zarówno czasu dzisiejszego, jak i jutra wyznaczanego rewolucją naukowo-techniczną.

Niełatwe są to problemy i nie na wszystkie pytania można już dziś od ręki — jak się to mówi — udzielić jednoznacznej odpowiedzi. Dyskusja zresztą trwa, towarzyszy jej konkretne działanie, a jednym z najważniejszych jej etapów jest właśnie przedzjazdowa konferencja łódzkiej organizacji partyjnej PZPR — kierowniczej siły całego społeczeństwa wywodzącej swoją mądrość i moc z siły i rozumu wielkoprzemysłowej klasy robotniczej.

Jedno jest pewne: przyszłość kraju i miasta spoczywa w naszych rękach, w sile mięśni i rozległości horyzontów myślowych. I z obowiązku wykorzystania całej tej wyzwolonej przez nowe kierownictwo partii i rządu energii — nikt nas nie zwolni.

I to też jest jeden z wniosków, z którymi łódzka organizacja partyjna idzie na VI Zjazd PZPR, wokół których na partyjnym forum prowadzi ogólnospołeczną i narodową debatę.

Uniwersytet i społeczeństwo

Rozmowa z rektorem UŁ

prof. dr ZDZISŁAWEM SKWARCZYŃSKIM

REDAKCJA: Krytyczny przełom 1970/71, uchwały VII i VIII Plenum KC partii, konsekwentne działanie organów partyjnych zmierzające do stworzenia praktycznego programu — do przyjęcia przez każdego obywatela Polski Ludowej — raz po raz obijały się o mury Uniwersytetu Łódzkiego, wywoływały dyskusje, polemiki, komentarze dotyczące żywotnych spraw naszej uczelni, perspektyw jej rozwoju, funkcji, jaką ma do spełnienia w nowym układzie stosunków — władza — nauka, a w przypadku naszego środowiska: uczelnia — miasto i odwrotnie.

W powakacyjnych miesiącach — wrześniu, a jeszcze bardziej w październiku, w znacznym stopniu wzmogło się społeczno-polityczne ożywienie. Wytyczne na VI Zjazd partii inspirowały nowe myśli, projekty i nadzieje, co znalazło swój wyraz, m. in. w tematyce i bogatych wnioskach przedzjazdowych konferencji partyjnych.

Redakcja „Odgłosów", pragnie nawiązać ściślejszą niż do tej pory — współpracę ze środowiskiem uniwersyteckim — jako jednym z ośrodków kulturotwórczych w naszym mieście i regionie. Czuję się w szczególny sposób zaszczycony, iż — jako pracownik naukowo-dydaktyczny tego Uniwersytetu i współpracownik tyg. „Odgłosy" — formalnie nie związany z Redakcją — mogę reprezentować obie strony.

Myślę, że taka forma konfrontacji sądów może przyczynić się do integracji różnych środowisk kulturotwórczych w tej dotąd zaniedbanej i nieudolnie organizowanej płaszczyźnie działania na rzecz tworzenia i popularyzowania kultury, sztuki, nauki.

Dalszy ciąg na str. 5

ŚWIATA

JEDNODNIOWE SPOTKANIE przywódców partyjnych i państwowych Polski i Związku Radzieckiego w Moskwie poświęcone było zarówno omówieniu stosunków dwustronnych na płaszczyźnie gospodarczej, jak i wymianie poglądów na temat aktualnych problemów międzynarodowych. Plonem rozmów jest uzgodnienie, iż obie strony polecą swym organom planistycznym i gospodarczym kontynuowanie pracy nad udoskonaleniem współpracy, zwłaszcza w dziedzinie specjalizacji i kooperacji produkcji maszyn i urządzeń oraz artykułów masowego spożycia. Wyrażono również dążenie do pełnej realizacji kompleksowego programu integracji gospodarczej krajów — członków RWPG, który służy zapewnieniu nieprzerwanego wzrostu stopy życiowej ludności.

W części rozmów, które dotyczyły sytuacji międzynarodowej, korzystnie odnotowano ewoluowanie sytuacji europejskiej w kierunku odprężenia. Podkreślono potrzebę szybkiej ratyfikacji układów PRL i ZSRR z NRF oraz aktywizacji przygotowań do ogólnoeuropejskiej konferencji, która może przyczynić się do przekształcenia Europy w kontynent pokoju i współpracy.

Rozmowy moskiewskie, jak to wynika z licznych doniesień i komentarzy prasowych, wzbudziły duże zainteresowanie.

Jeśli już rozpoczęliśmy przegląd wydarzeń od wizyty naszych przywódców w Związku Radzieckim — odnotujmy także: wizytę delegacji partyjno-rządowej NRD w Czechosłowacji, podróż Fidela Castro do Chile, która jest pierwszą podróżą przywódcy Kuby do kraju latynoskiego i która może rozpocząć proces normalizacji stosunków z Hawaną niektórych krajów Ameryki Łacińskiej, zakończenie wojaży Indiry Gandhi do 7 stolic zachodnich oraz zapowiedź odwiedzenia na początku grudnia przez premiera Kosygina Danii i Norwegii. Raz jeszcze dowodzi to, jak aktywne są obecnie stosunki międzynarodowe. Prawdopodobnie rok bieżący będzie pod względem składanych wizyt i bezpośrednich rozmów zaliczony do rekordowych. Ma to oczywiście swoją optymistyczną wymowę.

*

W UB. TYGODNIU agencje prasowe przyniosły wiadomość o przyjęciu przez Bundestag projektu ustawy o najmie mieszkań. Ta drobna informacja o ustawie, która nie interesuje czytelników poza obrębem NRF, awansowała jednak do rzędu ważnych. Dlaczego? Jako że była to próba sił w Bundestagu. Wyższa izba dwukrotnie oddalała projekt ustawy, co wymagało w izbie niższej już nie zwykłej większości głosów (liczonej w stosunku do obecnych na sali deputowanych), lecz absolutnej — opowiedzenia się większości wszystkich członków parlamentu. Koalicja rządowa SPD/FDP dysponuje 251 mandatami, a taka większość wymaga 249 głosów. Wyłamanie się z dyscypliny partyjnej, czy też nawet choroba koalicję rządową mogły pozbawić niezbędnej ilości głosów. Próbę sił SPD/FDP wygrały — ustawa została przyjęta. Na tej podstawie wyprowadza się optymistyczny wniosek co do szans ratyfikacji układów z Polską i ZSRR. Bo i wtedy należy się spodziewać owej złożonej procedury: wstrzymania ratyfikacji przez Bundesrat i wymogu większości absolutnej. Z takim biegiem sprawy łączy zresztą nadzieje opozycja.

Tymczasem bardzo intensywnie toczą się rozmowy sekretarzy stanu NRD i NRF: Kohla i Bahra. Kolejna runda była swoistym maratonem, trwającym cztery dni. Jak wiadomo, rokowania dotyczą porozumienia o ruchu tranzytowym między NRF i Berlinem zachodnim oraz układu o komunikacji między dwoma państwami niemieckimi. Komunikat o kolejnej rundzie informuje o osiągnięciu dalszego postępu oraz następnym spotkaniu w dniach 18 i 19 bieżącego miesiąca. Z długości rozmów i częstotliwości spotkań można wnioskować, iż następują uzgodnienia. Jest to podstawą licznych spekulacji na temat rychłego zakończenia rokowań.

*

Z WASZYNGTONU od kilku dni napływały sygnały, świadczące, że w swym kolejnym wystąpieniu prezydent Nixon ogłosi termin całkowitego wycofania wojsk amerykańskich z Południowego Wietnamu. Prezydent rzeczywiście zjawił się na konferencji prasowej i zabrał głos na temat Wietnamu. Wbrew jednak oczekiwaniom przedstawił plan redukcji zaledwie na dwa miesiące, zapowiadając redukcję oddziałów wojskowych o 45 tys. żołnierzy. Równocześnie podkreślił, że akcje lotnictwa amerykańskiego prowadzone będą z niezmienionym natężeniem. „Jeśli nie osiągniemy rozwiązania na drodze rokowań — powiedział dalej — rzeczą niezbędną będzie utrzymywanie tam nadal stałego kontyngentu naszych wojsk". Czy miał na myśli 140 tys. żołnierzy, którzy pozostaną jeszcze po zapowiedzianej redukcji o 45 tys., czy też mniej — nie wiadomo. Nie zmienia to zresztą faktu, że ciągle jeszcze Nixon odpowiada odmownie na domaganie się pełnego wycofania wojsk, a więc wejście na drogę pokojowego rozwiązania konfliktu. Konferencja paryska nie będzie mogła w tej sytuacji uczynić istotnego kroku naprzód, a perspektywa pokoju w Indochinach nie przybliża się.

Z depesz, napływających ze Stanów Zjednoczonych wynika, że wystąpienie prezydenta rozczarowało Amerykanów. Sądzili, że usłyszą zapowiedź rychłego zakończenia wojny, a tymczasem powiedziano im, że wojna będzie trwała. Czyżby więc Nixon właśnie rozpoczętą kampanię wyborczą chciał prowadzić pod znakiem kontynuacji zaangażowania USA w Indochinach? Pytanie powtarza się w wielu komentarzach, rodząc uzasadnione obawy. Podkreśla się również, iż stanowisko, jakie w tej ważnej sprawie zajmuje prezydent, może mu utrudnić zapowiedziane rozmowy w Pekinie i Moskwie.

W. SŁAWSKI

● Zewsząd o wszystkim ● Zewsząd o wszystkim ●

Waszyngton — Pekin

„Szczególna platforma zbliżenia"

„POLITICAL AFFAIRS" — NOWY JORK

Informacje o wizycie Nixona w Pekinie wywołują mnóstwo znaków zapytania. Mógłby ktoś odnieść wrażenie, że nastąpiła jakaś dramatyczna rewizja polityki amerykańskiej. Nixonowi udało się tylko wywołać chwilowe wrażenie, że jego wizyta w Chinach sprzyja umocnieniu pokoju i przyśpieszy zakończenie wojny indochińskiej.

Jednakże od razu rodzi się pytanie: czy zamierzona wizyta rzeczywiście doprowadzi do osłabienia napięcia i tym samym polepszy perspektywy sprawy pokoju na kuli ziemskiej, czy też spowoduje wręcz odwrotny efekt?

Należy odnotować fakt, iż USA dokonały rewizji swojej polityki w odniesieniu do ChRL w ślad za tym, jak tylko z całą oczywistością ujawnił się antyradziecki kierunek polityki chińskich przywódców. Rozłam w światowym ruchu komunistycznym spowodowany przez Pekin, wyraźnie zachęcił rządzącą ekipę Johnsona do eskalacji wojny w Wietnamie. Później, jeszcze bardziej ostry antyradziecki kurs Pekinu, popchnął Stany Zjednoczone do aktywnych prób zbicia kapitału politycznego na tym rozłamie. USA miały przy tym na widoku osiągnięcie następujących celów: utrwalenie rozłamu między Chinami Ludowymi a pozostałym światem socjalistycznym, przeciwstawienie krajów socjalistycznych państwom, które niedawno zdobyły niezależność polityczną oraz wzbudzenie rozdźwięków w światowym ruchu komunistycznym. Ponieważ Związek Radziecki jest potężną, światową, militarno - ekonomiczną twierdzą sił antyimperialistycznych, przeto antyradziecki kierunek stał się wiodącym elementem polityki Stanów Zjednoczonych. Celem, do którego dąży Nixon, jest wykorzystanie zbliżenia z przywódcami chińskimi do uzyskania określonych dywidend politycznych.

Normalizacja stosunków w Płd.-Wschodniej Azji powinna się opierać na wycofaniu wojsk amerykańskich z Indochin. To jasne. Ale Nixon chce wykorzystać podróż do Pekinu przede wszystkim w celu odciągnięcia uwagi od tego problemu. Nie może być mowy o żadnej istotnej normalizacji stosunków z Chinami Ludowymi, jeśli nie doprowadzi ona jednocześnie do normalizacji stosunków ChRL ze Związkiem Radzieckim. Jakiekolwiek porozumienie pomiędzy USA i Chinami, skierowane przeciwko Związkowi Radzieckiemu może tylko spowodować zaostrzenie napięcia w świecie i zwiększyć niebezpieczeństwo wojny. Czy Nixon zdoła wykorzystać nawiązanie stosunków z Chinami do rozdmuchania tendencji antyradzieckich i osłabienia jedności sił antyimperialistycznych, zależy, bez wątpienia, od stanowiska przywódców chińskich, a właśnie ich pozycja, zarówno przedtem jak i obecnie, budzi poważne wątpliwości co do stworzenia perspektyw ogólnej normalizacji stosunków.

Odejście pekińskich przywódców od marksizmu-leninizmu oraz ich próby naruszenia jedności światowego ruchu komunistycznego spowodowały odizolowanie komunistycznej partii Chin od tego ruchu, a Chin Ludowych — od braterstwa krajów socjalistycznych. Chińscy liderzy rozpętali wrogą kampanię przeciwko KPZR i uznali Związek Radziecki za „głównego wroga" Chin Ludowych.

W świetle takiej oceny polityki radzieckiej, nie mającej nic wspólnego z prawdziwym stanem rzeczy, wypady chińskie przeciwko imperialistycznym poczynaniom Stanów Zjednoczonych, chociaż w swym tonie nie mniej hałaśliwe niż przedtem, stają się dziś coraz bardziej jałowe. W istocie maoiści są zdolni do zawarcia tylko oportunistycznych sojuszów z państwami imperialistycznymi. Bo i gdzież mogą szukać pomocy dla przeciwstawienia się „radzieckiemu zagrożeniu"? Poza tym rosnąca, dobrowolna izolacja ekonomiczna Chin od świata socjalistycznego prowadzi nieuchronnie do coraz bardziej intensywnego szukania kontaktów i powiązań ekonomicznych z krajami kapitalistycznymi.

Już teraz trzy czwarte niewielkiego handlu zagranicznego Chin przypada na konto świata kapitalistycznego. Ale co jest jeszcze bardziej ważne, Chiny muszą szukać nowych źródeł pomocy technicznej i ekonomicznej, której swego czasu udzielał im Związek Radziecki, a którą odrzucili przywódcy chińscy. A jakież źródło pomocy można uważać za bardziej realne, niż monopolistyczny kapitał Stanów Zjednoczonych, który dysponuje kolosalnymi zasobami i jest zawsze gotów do okazania pomocy, ale za określoną cenę?...

Działacze maoistowscy próbują maskować swoją linię polityczną fałszywą teorią „dwóch supermocarstw", stawiając — bez żadnych podstaw — Związek Radziecki i Stany Zjednoczone na tej samej płaszczyźnie. Wzywają do konsolidacji małe i średnie kraje świata, aby przeciwdziałały tej „podwójnej groźbie", o której istnieniu usiłują je przekonać. Przywódcy chińscy zamierzają sami stanąć na czele tego „pochodu krzyżowego", zapewniając równocześnie ludzkość, że Chiny nigdy nie podejmą prób, aby stać się supermocarstwem.

Należy zwrócić uwagę, iż przy takim wyobrażeniu układu sił w świecie, odchodzą na dalszy plan wszelkie koncepcje klasowe oraz tuszuje się fakt, iż najbardziej podstawowym, pryncypialnym problemem naszych dni jest konflikt między systemami — socjalistycznym a kapitalistycznym. Bywa, że przeciwstawiają się sobie małe kraje i supermocarstwa, bądź też kraje kapitalistyczne czy socjalistyczne. A z tego „wypływa konieczność ukierunkowania" antagonizmów tych krajów przeciwko Związkowi Radzieckiemu, jako że ZSRR jest główną zaporą agresji Stanów Zjednoczonych i najmocniejszą ostoją wszystkich krajów, walczących o wyzwolenie narodowe.

Obecnie rząd chiński forsuje, coraz bardziej jawnie, politykę nawiązywania ścisłych stosunków z państwami imperialistycznymi i nawet powołuje się na zasadę pokojowego współistnienia. A więc na tę zasadę, którą do tej pory bezwarunkowo potępiał, jako bazę, na której Związek Radziecki jakoby sprzedaje interesy światowego ruchu rewolucyjnego. Ale pokojowe współistnienie nie ma nic wspólnego ze współpracą z imperializmem. Pokojowe współistnienie jest polityką walki z imperializmem i przeciwdziała jego przygotowaniom do totalnej rozprawy z państwami socjalistycznymi.

Czy to wszystko, o czym mowa, oznacza jakąś rewizję chińskiej polityki zagranicznej? Bynajmniej. Publiczne oświadczenia z ostatnich miesięcy, a zwłaszcza oświadczenia premiera Czou En-laia, złożone podczas jego spotkania z komentatorem politycznym „New York Times" — J. Restonem, wskazują wyraźnie, że polityczna linia Pekinu pozostaje bez zmian.

Podczas spotkania z Restonem problem wycofania się Stanów Zjednoczonych z Indochin był podporządkowany innym problemom. Nie był on podniesiony do rangi generalnego warunku nawiązania i rozwoju stosunków między Stanami Zjednoczonymi i Chinami. Z oświadczeń chińskiego premiera można było wnioskować, iż wycofanie się St. Zjednoczonych z Azji nie jest dla Pekinu nieodzowne. Czou En-lai powiedział: Nie możemy żądać wycofania się Stanów Zjednoczonych, nie domagając się jednocześnie tego samego od ZSRR, ponieważ byłoby to niesprawiedliwe.

„New York Times", w zamieszczonym niedawno artykule redakcyjnym pisze na ten temat: „Po dwudziestu latach irytujących ataków na obecność Amerykanów w Azji, komunistyczne Chiny są dziś zaniepokojone perspektywą wyjścia Amerykanów".

Pekin, sądząc po wszystkim, nie stawia obecnie żadnych twardych terminów wycofania wojsk amerykańskich z Indochin. Odstąpienie od tego żądania w rozmowach premiera chińskiego z Restonem wywołuje szczególnie uderzające wrażenie. Z punktu widzenia stosunków chińsko-amerykańskich daje dużo do myślenia fakt, że Pekin nie uczynił próby określenia terminu opuszczenia Taiwanu przez USA.

Przywódcy chińscy prowadzą niebezpieczną grę, osłabiając siły antyimperializmu w momencie, kiedy konsolidacja tych sił ma ogromne znaczenie. Obecna polityka chińskiego kierownictwa idzie na rękę administracji Nixona, który w rozpaczliwych próbach usiłuje przezwyciężyć pogłębiający się kryzys w Stanach Zjednoczonych.

„Mózg" na składzie

„BLÄTTER FÜR DEUTSCHE UND INTERNATIONALE POLITIK" — KOLONIA

Opublikowanie w amerykańskiej gazecie „New York Times" tajnych dokumentów Pentagonu, nigdzie bodaj nie wywołało tak daleko idących następstw, jak w przesławnym „truście mózgów" — „Rent Corporation" w Santa Monica, w stanie Kalifornia. Daniel Elsberg, który przez długie lata pracował w tej instytucji w charakterze specjalisty w zakresie analizy obronnej, „wypożyczył" z archiwum „Rent Corporation" gruby tom „Sprawozdania McNamary", zrobił z niego kopię i przekazał ją redakcji „New York Times".

„Rent Corporation" jest najstarszy, największy i najbardziej wpływowy spośród dwunastu „trustów mózgu" USA. Rząd amerykański korzysta z jego usług w przeróżnych dziedzinach, a zwłaszcza przy rozwiązywaniu problemów przygotowywania i prowadzenia wojny. W ubiegłym roku budżet tych instytucji wynosił 238 i pół miliona dolarów. Lwia część tej sumy przypadła na prace „Rent Corporation". Jest on powszechnie znany pod nazwą „fabryki produkowania idei". Jednak najczęściej mówi się o nim jako o „składnicy mózgów". Jest to określenie charakterystyczne dla kraju, w którym nawet myśl ludzką uważa się za towar, który można przechowywać w magazynie i po który można sięgać w miarę potrzeb rządu.

Instytucja ta została powołana do życia w 1946 roku przez dowództwo amerykańskich sił lotniczych. Mniej więcej w tym samym czasie powstała również Centralna Agencja Wywiadowcza. Jednoczesne pojawienie się tych obu instytucji nadaje temu faktowi jednoznaczną wymowę: „Rent Corporation" należy uważać za filię CIA.

Po ukończeniu studiów na uniwersytecie harvardzkim, Elsberg rozpoczął współpracę z „Rent Corporation", gdzie powierzono mu opracowanie teorii prawdopodobieństwa w zastosowaniu do zagadnień wojny. W 1964 roku, po 3-letniej pracy w Santa Monica, Elsberg przeszedł do pracy w Pentagonie i wkrótce potem został wysłany na front wietnamski. Tam, przez długi czas, uważano go za jednego z najbardziej wściekłych „jastrzębi". W 1967 roku powrócił do pracy w „Rent Corporation". W ciągu roku opracowywał tam jeden z tomów tego samego „Sprawozdania McNamary", którego treść ujawnił później na łamach pisma „New York Times".

Natychmiast po burzy wokół tego sprawozdania Pentagonu, minister obrony Melvin Laird kazał odebrać tej instytucji wszystkie tajne dokumenty, znajdujące się w jej dyspozycji. Odtąd też, zgodnie z zarządzeniem Lairda, wszystkie osoby, mające dostęp do archiwów „Rent" w Santa Monica i w Waszyngtonie podlegają rewizji osobistej.

W końcu września Laird zrobił jeszcze jeden krok. Do dokumentów z napisem „ściśle tajne" ma dostęp tylko 450 z 1300 pracowników „Rent Corporation". Przedtem wszyscy oni mieli wgląd do najbardziej tajnych dokumentów wojskowych. Pentagon zaszedł tak daleko w ochronie tajemnicy, że hasłem „ściśle tajne" opatruje już nawet wycinki z gazet. Dozór nad personelem „Rent Corporation", oraz wszystkimi dokumentami, oddano w ręce specjalnej służby bezpieczeństwa wojskowych sił powietrznych USA.

● Zewsząd o wszystkim ● Zewsząd o wszystkim ●

PREZENTACJE

BOLESŁAW KOPERSKI

W połowie lutego 1971 roku pierwszym sekretarzem Komitetu Łódzkiego PZPR został Bolesław Koperski — łodzianin, włókniarz, działacz partyjny i dyplomata. Po wyborze na pierwszego sekretarza KŁ w prasie ukazały się krótkie informacje o Bolesławie Koperskim. I tyle tylko wiedzą o nim ci, którzy go przedtem nie znali.

— Jak zaczęła się Wasza praca polityczna?

— Pracowałem wówczas w tkalni mechanicznej dzisiejszych Zakładów im. Obrońców Pokoju. Byłem tkaczem. Jako najmłodszemu członkowi PPR polecono mi zorganizowanie koła Związku Walki Młodych. Był to rok 1945. Myślę, że dobrze wywiązałem się z tego pierwszego, wcale niemałego zadania partyjnego.

— A potem?

— Przewodniczącym zakładowego koła ZWM byłem do zjednoczenia organizacji młodzieżowych, czyli do lipca 1948 roku, następne trzy miesiące byłem przewodniczącym koła Związku Młodzieży Polskiej. Jednocześnie, bo od jesieni 1946 roku pełniłem funkcje II-go sekretarza komitetu zakładowego PPR w dzisiejszych zakładach „Obrońców Pokoju". Była to trudna i odpowiedzialna praca, trwała od rana do późnego wieczora. Dawała mi ona jednak dużo zadowolenia. W 1949 r. z „Obrońców Pokoju" przeszedłem do pracy w Zarządzie Łódzkim ZMP.

— Byliście przewodniczącym Zarządu Łódzkiego ZMP.

— Tak. Był to okres umacniania ZMP, który powstał z czterech różnych organizacji: ZWM — OM TUR — Wici — ZMD. Zapomnieliśmy o organizacyjnych różnicach, szybko znajdowaliśmy wspólny język, bo przecież cel był jeden. Łódzka organizacja ZMP była organizacją prężną i bojową, a praca w niej była wyróżnieniem.

— Czy ówczesna młodzież bardzo różniła się od współczesnej?

— Jeżeli doszukiwać się różnicy to nie w młodzieży, a w warunkach, w jakich myśmy dojrzewali i w jakich dziś dojrzewają młodzi. Myśmy wówczas znacznie szybciej zdobywali wiedzę o życiu. Za nami była wojna i okupacja, szkołą życia były pierwsze lata odbudowy. Dziś, mimo, że warunki są nieporównywalnie lepsze, aby coś osiągnąć, też trzeba wiele wysiłku. Aby nie pozostać w tyle za innymi, trzeba się bardzo dobrze uczyć i dobrze pracować.

— W końcu 1950 roku wyjechaliście z Łodzi.

— Skierowano mnie do pracy w Zarządzie Głównym ZMP. Ukończyłem dwuletnią szkołę partyjną przy KC PZPR, po czym przeszedłem do pracy w KC PZPR, a od połowy 1955 roku — do pracy w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Pracując w MSZ ukończyłem studia w Szkole Głównej Służby Zagranicznej.

— I taki był początek kariery dyplomatycznej?

— Nie używałbym słowa „kariera", po prostu pracowałem w MSZ na różnych stanowiskach. M.in. zajmowałem się pracą partyjną w Ministerstwie. Do Berlina Zachodniego wyjechałem w 1965 r.

— Jako szef Polskiej Misji Wojskowej?

— Tak. Byłem szefem placówki, która powstała w wyniku Uchwał Poczdamskich. Obecnie placówka ta spełnia inną rolę i funkcję, aniżeli w pierwszych latach po wojnie. Zajmuje się problematyką polityczną i konsularną. Działalnością swoją obejmuje także NRF z uwagi na brak stosunków dyplomatycznych z tym krajem. Poza tym zajmuje się wymianą handlową między Polską, a Berlinem Zachodnim. Szefem Polskiej Misji Wojskowej byłem

do lutego 1971 roku, kiedy to — jak wiadomo — powróciłem do rodzinnej Łodzi.

— Czy to trudno być pierwszym sekretarzem tak wielkiej organizacji?

— Bardzo trudno. Tak trudno, że nawet nie można określić tego słowami.

— Jak wygląda dzień Waszej pracy?

— Rano spotykam się z kolektywem kierowniczym Komitetu Łódzkiego partii. W dniach, kiedy nie mam tych spotkań, przyjmuję interesantów. Poza tym uczestniczę w różnych posiedzeniach, zebraniach, biorę udział w naradach w Komitecie Łódzkim, Komitetach Dzielnicowych, zakładach produkcyjnych i instytucjach. Wymaga to dokładnego przygotowania się. Poza tym każdego dnia mam do przeczytania sporo listów, które przysyłają mi łodzianie.

— A o czym najczęściej ludzie piszą?

— O sprawach miasta, zakładu, w którym pracują, o tym, co ich drażni, co jest złe i wymaga poprawy. Piszą o osobistych kłopotach, o trudnościach, z jakimi spotykają się na co dzień. Ludzie szukają pomocy, a jednocześnie pisząc o ważnych problemach pomagają tym w pracy łódzkiej instancji partyjnej, pomagają miastu.

— Czy dużo jest takich listów?

— Około osiemdziesięciu tygodniowo.

— A co Was, jako mieszkańca Łodzi, najbardziej denerwuje?

— Denerwuje mnie najbardziej znieczulica na braki i niedostatki, których w naszym mieście ciągle jeszcze jest zbyt wiele. Denerwują mnie ludzie, którzy wraz ze stanowiskiem przyjęli na siebie określone zadania, biorą pensję, a z przyjętych zadań nie wywiązują się. Aby złych pracowników i złych kierowników było mniej, staramy się wychowywać ludzi i pomagać im. A tych, którym to nie pomoże, trzeba będzie skierować do takiej pracy, z której będą mogli wywiązać się, która odpowiada ich kwalifikacjom.

Denerwują mnie poza tym nie wykańczane budynki, rozkopane i zbyt wolno naprawiane ulice. Pytam ludzi odpowiedzialnych za to: dlaczego rozkopujecie tyle ulic w tym mieście, wiedząc, że nie stać was na szybka ich naprawę? Denerwuje mnie jeszcze szereg rzeczy, o których już nie chcę wspominać, aby nie zdenerwować czytelników.

— Co Wam daje więcej wiadomości o życiu łodzian — kontakty osobiste, czy udział w zebraniach?

— Wszystko ma swoją wartość. Staram się często spotykać z ludźmi w zakładzie pracy, instytucji czy, po prostu w mieście aby osobiście zobaczyć, jak żyją i pracują łodzianie. Żadna notatka, żadna cudza informacja nie przekaże tego, co własne spojrzenie. Wiele dają też dyskusje na zebraniach i naradach, ale tylko wtedy, kiedy ludzie mówią szczerze, śmiało i rozsądnie.

— Do której organizacji partyjnej należycie?

— Jestem członkiem organizacji partyjnej w tkalni mechanicznej ŁZPB im. „Obrońców Pokoju". W zakładzie, w którym kiedyś pracowałem.

— Co, jako członek tej organizacji, sądzicie o jej pracy?

— Uważam, że jest to dobra organizacja partyjna, umiejąca krytycznie ocenić sytuację u siebie, w sposób gospodarski mówić o sprawach najbardziej istotnych dla zakładu i ludzi tam pracujących. W organizacji naszej jest dużo towarzyszy wyróżniających się dobrą pracą.

— Czy wiele zmieniło się w fabryce, w której zaczynaliście pracować?

— Maszyny zmieniono niewiele, są w większości stare, jak były. Poprawiło się oświetlenie, zmieniły się na lepsze warunki socjalne. Nastąpiła większa stabilizacja załogi.

— A co zmieniło się w dzielnicy, z której pochodzicie?

— Dużo i mało. Z całej ulicy Wilczej, na której się wychowałem, pozostał tylko jeden dom. Właśnie ten, w którym mieszkałem. Wszystkie inne zniknęły, a na ich miejscu stoją nowe bloki. Ale sto metrów dalej wszystko pozostało po staremu — te same fabryczne „famuły", na jezdniach te same „kocie łby", tyle tylko, że z większymi dziurami. Mam nadzieję, że już niedługo i tam zmieni się na lepsze.

— Co, Waszym zdaniem, jest najbardziej istotne w programie łódzkich przemian?

— Najbardziej istotne, to wykonać to wszystko, co w programie rozwoju Łodzi przyjęliśmy na najbliższe lata: modernizacja i rozbudowa przemysłu i miasta, poprawa pracy i życia łodzian. Aby wywiązać się z przyjętych zadań, musimy zmienić sposób myślenia wielu ludzi. Szczególnie tych, którzy nie potrafią, albo odzwyczaili się myśleć szybko, a jednocześnie odpowiedzialnie, pracować szybko, a jednocześnie dobrze.

— I ostatnie już pytanie: jak wypoczywacie?

— Odpoczynek — to głównie czas spędzony w domu z własną rodziną, szczególnie z małym synkiem. Lubię teatr, do którego chodzę rzadziej, niż bym pragnął. Lubię także kino, ale nie bardzo mam na nie czas. Pasjonuje mnie również sport. Podobnie jak wszyscy łodzianie cieszę się sukcesami łódzkich sportowców i martwię się ich porażkami.

Dużo zadowolenia i satysfakcji daje mi świadomość dobrze wykonanej pracy, poczucie dobrze spełnionego obowiązku i zadowolenie łodzian z naszych wspólnych osiągnięć. Świadomość tego — to także odpoczynek.

Rozmawiała: **BOGDA MADEJ**

KRZYSZTOF A. KUCZYŃSKI

Germanica Lodziensia

Zakład Filologii Germańskiej jest integralną częścią Instytutu Filologii Obcych, powstałego w wyniku reorganizacji szkolnictwa wyższego. Zakład, podobnie jak i cały uniwersytet, od dawna boryka się z trudnościami lokalowymi. Władze uczelni zdają sobie sprawę, że pożądana byłaby centralizacja katedr filologicznych, które są rozsiane obecnie w kilku punktach miasta, jednakże było to dotychczas niemożliwe. Dopiero ostatnio zarysowała się realna szansa rozwiązania tego problemu.

Zbliża się mały jubileusz łódzkiej germanistyki, a mianowicie 10-lecie jej reaktywowania. Nadarza się więc dogodna okazja, aby dokonać krótkiego przeglądu dotychczasowych wyników w pracy naukowo-dydaktycznej i zapoznać się z planami na przyszłość.

Użyłem określenia, „reaktywowanie", gdyż germanistyka w Łodzi istniała już wcześniej. Wraz z powstaniem Uniwersytetu Łódzkiego w 1945 roku powołano do życia Katedrę Filologii Niemieckiej. Ster kierownika ujął w swoje ręce nestor germanistów polskich, zasłużony i wielce ceniony naukowiec — prof. dr Zdzisław Żygulski.

W pierwszych latach powojennych dawał się odczuć w Polsce brak doświadczonych kadr germanistycznych. I tak w ramach reorganizacji postanowiono przeszeregować niektóre placówki naukowe w celu stworzenia kilku, ale rzeczywiście silnych ośrodków. Po kilku latach działalności w Łodzi prof. dr Z. Żygulski przeniesiony został do Wrocławia, gdzie powstała jedna z najprężniejszych germanistyk polskich.

Łódź musiała czekać więc na swoją germanistykę aż do roku 1963, kiedy nastąpiło reaktywowanie Katedry Filologii Germańskiej. Kierownikiem jej została doc. dr Maria Kofta, uprzedni kierownik Germanistyki w Poznaniu. Jej i doc. dr Arno Willowi, ich pracy oraz osobistemu zaangażowaniu i dużemu nakładowi energii, jak i daleko idącej pomocy władz uczelnianych należy zawdzięczać fakt, że Katedra Filologii Germańskiej mogła w 1964 roku ogłosić po raz pierwszy nabór studentów na pierwszy rok studiów.

Swoje szczupłe miejscowe kadry naukowo-dydaktyczne uzupełniała Katedra, sprowadzając młodych germanistów z różnych stron Polski, którzy postanowili swą ofiarną pracą przyczynić się do utworzenia mocnego ośrodka germanistycznego.

W trosce o wysoki poziom zaangażowano nawet cenionego językoznawcę z NRD — dr Arweda Spreua, który swoją wiedzą i postawą zyskał powszechny szacunek i sympatię.

W roku 1968 na stanowisko Kierownika Katedry Filologii Germańskiej powołany został znany, ogólnie szanowany prodziekan Wydziału Filologicznego Uniwersytetu Łódzkiego — doc. dr Arno Will.

Na dorobek naukowy łódzkich germanistów składają się pozycje, które stanowią istotny wkład do naszej wiedzy o literaturze niemieckiej. Książki Marii Kofty „Sondowanie przepaści" (Poznań 1965), lub Arno Willa „Polska i Polacy w niemieckiej prozie literackiej XIX wieku" (Łódź 1970) spotkały się z przychylną oceną krytyki. Wiele rozpraw i artykułów można znaleźć m. in. w „Zeszytach Naukowych Uniwersytetu Łódzkiego", poświęconych germanistyce, w łódzkich „Pracach Polonistycznych", czy wreszcie na łamach licznych czasopism krajowych i zagranicznych.

Pierwszymi doktorami łódzkiego ośrodka germanistycznego zostali Zenon Rudnicki i Alfred Tarantowicz, pisząc swoje dysertacje z literatury (dr Z. R.) i z językoznawstwa (dr A. T.).

Mury łódzkiej germanistyki opuściło dotychczas około 70 osób z dyplomem magistra filologii germańskiej.

Zakład utrzymuje ożywione kontakty z Ośrodkiem Informacji i Kultury NRD w Warszawie. I tak za pomocą Ośrodka sprowadzono w 1967 roku kolejnego wykładowcę z NRD, tym razem dr Ingrid Kelling, która stojąc od początku na trudnej pozycji — wszyscy pamiętali jeszcze jej poprzednika — potrafiła zdobyć sobie przebojem serca młodzieży i uznanie władz uczelnianych. Jej charakterystyczna, ogromnie sympatyczna sylwetka, na trwałe zapisała się w naszej pamięci. W tym samym roku pozyskano też wrocławskiego germanistę, dr Jana Hryńczuka.

Zakład Filologii Germańskiej przejawia wiele inicjatywy, zapraszając na gościnne odczyty i prelekcje znanych pisarzy i działaczy kulturalnych. Ostatnio bawił np. w Łodzi popularny prozaik z NRD, Joachim Knappe, a w najbliższym czasie gościem Zakładu będzie pani prof. Anneliese Grosse, naczelny redaktor jednego z czołowych miesięczników literackich NRD, „Weimarer Beiträge".

Istotnym miernikiem poziomu Zakładu są liczne pochwały dla studentów germanistyki łódzkiej, studiujących w Lipsku, a dowodem ambitnych planów naukowych — kolejne, ciekawe, znajdujące się w przygotowaniu — rozprawy doktorskie młodych łódzkich germanistów.

Dziedzinami badań, którym poświęca się wiele uwagi w Zakładzie, jest literatura z lat przełomu XIX i XX wieku (m. in. twórczość Heinricha Manna, Hermanna Brocha) i zagadnienia motywów polskich w literaturze niemieckiej (m. in. Karl Emil Francos, Helene Wachsmuth).

Także tematy większości prac magisterskich są związane z ogólnym kierunkiem badań naukowych Zakładu Filologii Germańskiej.

W minionych latach swojej wiedzy i doświadczenia użyczali łódzkim studentom także naukowcy z innych ośrodków, m. in. prof. dr Marian Adamus z Wrocławia. Im wszystkim oraz wielu innym wykładowcom i asystentom zawdzięcza łódzka germanistyka swoją dzisiejszą pozycję.

Dotychczasowe locum, zbyt mała ilość sal wykładowych, utrudniała proces nauczania. Nowy gmach za jednym zamachem rozwiąże wszystkie te problemy. Umożliwi zorganizowanie biblioteki zakładowej z prawdziwego zdarzenia, która jest przecież podstawą pracy każdego naukowca. A wreszcie, co jest marzeniem wszystkich, da szansę stworzenia laboratorium językowego, nieodzownej części warsztatu pracy studenta — neofilologa, przyszłego nauczyciela, tłumacza, pracownika centrali handlowej, działacza turystycznego itp.

Gratulujemy jej serdecznie i życzymy dalszych sukcesów dla dobra polskiej nauki.

ZOFIA TARNOWSKA

Dzieci z marginesu

...Na gorącym uczynku włamania do kiosku „Ruchu" funkcjonariusze MO ujęli trzech nieletnich złodziei. Najstarszy miał 14 lat, najmłodszy — 11.

...Dwaj nieletni dokonali rozboju, napadając na drodze prowadzącej przez las na powracającego z sąsiedniej wsi staruszka.

...wśród winnych zbiorowego gwałtu było dwóch nieletnich.

...milicja ujęła grupę nieletnich przestępców, którzy w wielu miejscowościach województwa dokonali szeregu kradzieży z włamaniem.

* ★ *

Ilu ich staje przed Sądem dla Nieletnich? Bardzo wielu. W 1959 roku sądy przeprowadziły w całym kraju około 39 tys. spraw w stosunku do nieletnich. Dziesięć lat później liczba młodocianych przestępców, którzy stanęli przed sądem dla nieletnich, podwoiła się niemal (77 tysięcy). Przez ostatnie dwa lata, a szczególnie w tym roku notuje się znowu raptowny wzrost przestępstw popełnianych przez dzieci i młodzież i to przestępstw poważnych, groźnych (np. rozboje, gwałty). Prawnicy mówią: zaznaczyły się niekorzystne zjawiska w zakresie struktury przestępczości nieletnich, wzrosła recydywa (powrót do przestępstwa po okresie wychowawczym, który ma przynieść resocjalizację), alkoholizm (dwukrotnie!) i przestępczość grupowa.

Większość nieletnich, wobec których zastosowano w ubiegłym roku środki poprawczo-wychowawcze stanowili uczniowie szkół (88,8 proc.), z czego uczniowie szkół podstawowych 85,6 proc. Wysoki odsetek wśród nich stanowili nieletni opóźnieni w nauce, co wskazuje na współzależność występującą pomiędzy niepowodzeniami szkolnymi, a ich dalszym procesem wykolejania się.

* ★ *

Ileż to razy zastanawialiśmy się nad przyczynami demoralizacji nieletnich! Dyskutowano problem w specjalistycznych gronach, rozważano sytuację w aspektach szkolnych, rodzinnych, środowiskowych. Znajdowano źródła zła, starano się jakoś zapobiegać, powoływano różnorakie instytucje... Od szeregu lat, mimo dość wyraźnego skreślenia przyczyn przestępczości młodocianych — zapobieganie im pozostaje w sferze pobożnych życzeń, a nie rzeczywistego działania. I prognozy na przyszłość — zakładając największy optymizm — nie są najlepsze. Dlaczego? Postaram się uzasadnić. Przedtem jednak chciałabym przedstawić wyniki badań, które na tle działalności Ośrodka Diagnostyczno-Selekcyjnego Sądu Wojewódzkiego dla woj. łódzkiego podjął w 1969 r. zespół specjalistów pod kierownictwem prof. dr Zdzisława Rydzyńskiego — kierownika Kliniki Psychiatrycznej WAM.

Badaniami objęto 155 nieletnich, rekrutujących się z Łodzi i województwa. Sylwetkę ich osobowości oceniano zespołowo: 3 psychiatrów, 3 psychologów, socjolog i antropolog. Korzystano z pracowni badawczo-diagnostycznych (analityczna, rentgenologiczna i in.). Pracę wykonano w dwóch etapach. W pierwszym poddano badaniom grupę 125-osobową w skład której wchodzili nieletni kierowani przez sądy na podstawie decyzji sędziów. Ponieważ w tej sytuacji wytwarzało się niebezpieczeństwo otrzymywania do badań wybranego materiału (najtrudniejsi podsądni), zdecydowano w drugim etapie zbadać 30 młodocianych przestępców według kolejności zgłaszania ich na wokandę losowo wybranego sądu.

W pierwszej grupie przeważali chłopcy (121), z dużych miast, powiatowych, uprzemysłowionych. Pochodzenie społeczne — pracownicy fizyczni (104). Z punktu widzenia wartości moralnych środowisko rodzinne i dalsze bardzo często wykazywało cechy patologii społecznej, to znaczy: rozbite rodziny, alkoholizm nałogowy rodziców, prostytucja, kryminaliści w rodzinie, bądź w najbliższym otoczeniu, wreszcie negatywne oddziaływanie wychowawcze pod postacią zupełnego braku opieki nad dzieckiem, daleko posuniętej tolerancji wybryków, korzystania ze złodziejskich łupów dzieci itp. I tu niejakie zaskoczenie: nieletnich przestępców rekrutujących się z rodzin pełnych (ojciec i matka), zwartych, szanujących się, dbających o wychowanie dzieci było 57. Nieletnich przestępców wywodzących się z rodzin oddziaływających negatywnie było 68. W 32 przypadkach stwierdzono patologię społeczną w najbliższym środowisku pozarodzinnym (recydywiści, alkoholicy, prostytutki, chuligani w dzielnicy, wsi, wśród kolegów).

Olbrzymia większość nieletnich wykazała odchylenia od normy psychicznej (zaburzenia uwarunkowane organicznym uszkodzeniem mózgu). Więcej niż połowa (64 proc.) badanych nieletnich miało bardzo duże trudności adaptacyjne w szkole. Zastanawiające, że także ci, którzy uczęszczali do szkół specjalnych, nie wykazywali dobrych postępów. Należy jednak tłumaczyć to zjawisko mechanizmem kierowania do szkoły specjalnej: niemal wszyscy trafiali tam zbyt późno, po kilku latach niepowodzeń w szkole zwykłej, w czasie, kiedy ogarnęło ich kompletne zniechęcenie do nauki. Ale nie tylko złe postępy w nauce znamionowały dezadaptację szkolną. Dodać należy jeszcze do tego wagarowanie i zdecydowanie negatywną, agresywną postawę wobec nauczycieli, wychowawców i kolegów.

Objawem niedostosowania szkolnego towarzyszyło często niedostosowanie rodzinne. Wagarowaniu towarzyszyły ucieczki z domu. Mechanizm dezadaptacji narastał zazwyczaj według takiego schematu: **trudności szkolne — wagarowanie — konflikty z rodzicami — ucieczki z domu — kontakt z młodzieżą zdecydowanie zdemoralizowaną — pierwszy czyn przestępczy dla zaspokojenia życiowych potrzeb — kradzieże żywności w czasie ucieczki (lub za namową) — współudział w kradzieży bardziej „doświadczonych" kolegów — przestępstwa bez życiowej potrzeby.**

U większości badanych przestępcza działalność sygnalizowana była dużo wcześniej niedostosowaniem do życia w szkole, a następnie do życia w rodzinie. Średnia wieku, w którym ujawniało się niedostosowanie szkolne: — 8 — 9 lat, średnia wieku w chwili dokonywania pierwszego przestępstwa — 13,7 lat życia.

W drugiej grupie w zasadzie wyniki badań są identyczne z tym, że znalazło się w niej więcej młodocianych, stających po raz pierwszy przed sądem.

Interesujący problem socjologiczny, a chyba także medyczny przedstawia fakt wyższego nasilenia przestępczości nieletnich w środowiskach miejskich w porównaniu z wiejskimi. Dlaczego tak jest? W miastach występuje więcej czynników kryminogennych: większe nagromadzenie amoralnych wzorów w najbliższym otoczeniu, więcej społecznych pokus, upadek modelu patriarchalnej rodziny, rozluźnienie więzi wewnątrz grupy społecznej i związana z tym mniejsza potrzeba liczenia się z opinią najbliższego otoczenia, większe możliwości zarobkowania w młodym wieku i lekkomyślnego lub wręcz społecznie szkodliwego wydatkowania pieniędzy.

Badania ujawniły poza tym, jeszcze jeden bardzo ważny czynnik: encefalopatia (skutki urazów mózgu we wczesnym dzieciństwie). U większości przestępców zbiegają się w bardzo niekorzystny sposób dwa współdziałające i potęgujące się nawzajem elementy: mała wartościowość psychiczna i aspołeczne wpływy środowiska. Obydwa te fakty powinny być brane pod uwagę przez osoby ferujące wyroki, jak i zajmujące się z reedukacją i rehabilitacją nieletnich przestępców. I fakty te rzutować także muszą na działalność profilaktyczną.

Z materiału faktycznego badań wynika zasadniczy wniosek, najistotniejszy dla wszelkiej pracy wychowawczej i profilaktycznej: **przestępczość nieletnich to zjawisko, które zapowiada swe wystąpienie dużo wcześniej, nim ukształtuje się w całej pełni. Jest to zjawisko społeczne, które można w dużym stopniu wcześniej przewidzieć, na wiele lat przed ujawnieniem i któremu można zapobiegać w radykalny sposób pod warunkiem szerokiego frontu działania.**

* ★ *

Szeroki front. Jakie propozycje, a raczej postulaty wysuwa zespół specjalistów na gruncie wyżej przytoczonego stwierdzenia:

Walka z przestępczością nieletnich — działanie profilaktyczne — oprzeć się musi przede wszystkim na bardzo rozbudowanej sieci placówek, oceniających osobowość dzieci i młodzieży i doradzających wybór właściwej szkoły, zawodu, opieki specjalistów, leczenia, odpowiednich metod wychowawczych. Zaczątkiem organizacji takich placówek są Szkolne Ośrodki Selekcyjne, niestety, niedostatecznie rozbudowane i także przygotowane do swej roli. Drugą taką instytucją (istnieje, ale nie pełni swych funkcji) jest... lekarz szkolny. Psychologia, neurologia i psychiatria dziecięca — to są podstawowe specjalności, które lekarz szkolny winien znać i stosować w praktyce gabinetu szkolnego. No i szkolnictwo specjalne — dziś mało jeszcze zwracające uwagę na dostosowanie metod pedagogicznych do dzieci z małymi wadami psychiki, wychowawczo trudnych. To samo dotyczy metod w zakładach wychowawczych i poprawczych, które powinny mieć pedagogów o przeszkoleniu specjalistycznym i rozbudowaną służbę psychologiczną i psychiatryczną. Konieczne jest również stworzenie we wszystkich województwach specjalnych zakładów wychowawczych dla młodzieży zagrożonej, która nie weszła jeszcze „oficjalnie" na drogę przestępstwa, ale zachowaniem zapowiada możliwość konfliktu z prawem. Konieczne jest rozbudowanie sieci wieloprofilowych szkół specjalistycznych, przygotowanych do nauczania dzieci z różnymi wadami psychicznymi (nie tylko z niedorozwojami).

* ★ *

Mamy projekt ustawy o ochronie młodzieży przed demoraliza-

Dalszy ciąg na str. 9

KONRAD FREJDLICH

Białe plamy

Na Łódź runęła kaskada pieniędzy.

Rzeczywiście, suma 35 miliardów złotych, które otrzymało miasto po raporcie komisji partyjno-rządowej badającej wiekowe, ale także i powojenne zaniedbania, to kwota poważna, z którą można pokusić się o niejedno. Wiemy już, o czym pisała prasa, że zmodernizowany i unowocześniony zostanie przemysł, że dokonane zostaną poważne przekształcenia strukturalne i ruszą nowe gałęzie produkcji, że będzie więcej mieszkań i o wyższym standardzie. Wyliczenie, choćby pobieżne, wszystkich zysków rekonstrukcji miasta, zajęłoby zresztą miejsce przeznaczone na cały artykuł.

A jednak w ambitnym planie rozwoju i modernizacji miasta znalazły się białe plamy, które muszą niepokoić. A niepokoić muszą choćby dlatego, że trzeba je rozpatrywać w całokształcie problemów socjalnych i miejsca człowieka. Chodzi, powiedzmy to od razu, o program rozwoju życia kulturalnego w mieście, tak zminiaturyzowany, że nie da się go wytłumaczyć ogólnocywilizacyjną tendencją zmniejszania gabarytów urządzeń. Mamy do czynienia ze zjawiskiem i praktyką, którą znamy z poprzedniego okresu, kiedy to dość mechanicznie, zamaszystym ruchem ołówka, skreślało się jako niepotrzebne, stołówki fabryczne i domy kultury. Czyli to wszystko, co bezpośrednio nie służyło produkcji. Mamy tu do czynienia z praktyką tym niebezpieczniejszą, że skreślenia dokonane zostały w skali miasta, którego rekonstrukcja i przebudowa będzie w tych warunkach tylko kadłubową tym bardziej, że kulturalne zaniedbania Łodzi dorównują zaniedbaniom gospodarczym i komunalnym.

Nie wiem zresztą, czy są to rzeczywiste skreślenia. Białe plamy, o których tu mowa, są w moim przekonaniu raczej dowodem niedowładu w zarządzaniu kulturą i wyrażają głównie niewiarę pracowników administracji w twórcze możliwości miasta. Potwierdza to zresztą pośrednio wywiad, jakiego niedawno udzielił naszemu tygodnikowi mgr Wojciech Boczkowski, kierownik Wydziału Kultury Prezydium Rady Narodowej m. Łodzi (patrz: „Odgłosy" nr 44 (728) z 31. X. 1971 roku). Z publikacją tą warto się zapoznać, gdyż odbija ona nastroje administratorów kultury i stanowi interesujący przyczynek do analizy stosunków na styku urząd — środowiska twórcze.

Nie chcę przeceniać roli inwestycji kulturalnych, nie chcę fetyszyzować znaczenia bazy w rozwoju życia umysłowego miasta, bo kultura to przede wszystkim przejawy działalności artystycznej, twórczy ruch, którego nie zastąpi najefektowniejszy budynek teatralny, najnowocześniejszy architektonicznie dom kultury, najpojemniejsza świetlica z meblami na wysoki połysk i odbiornikiem kolorowej telewizji. Jeśli więc w ogóle wspominam o bazie, to przede wszystkim dlatego, że inwestycje stanowią zazwyczaj główną troskę administratorów, czemu daje wyraz także wspomniany wywiad, a także dlatego, że jak mi się wydaje, przewidziane programem modernizacji nakłady 161,1 mln na kulturę, choć szczupłe, zostaną nie najlepiej ulokowane i można by je spożytkować o wiele właściwiej wysłuchawszy choćby postulatów pracowników kultury, twórców i szeregowych działaczy.

Jakie to postulaty? Nie jest co prawda w zwyczaju Wydziału Kultury RN m. Łodzi konsultować się ze środowiskami twórczymi, czego najlepszym dowodem fakt, że w czasie opracowywania raportu nie odbyło się ani jedno spotkanie środowiskowe, ale postulaty te padły już po czasie, podczas inauguracji nowego roku kulturalno-oświatowego, która tym razem niewiele miała wspólnego z urzędową celebracją i przekształciła się spontanicznie w roboczą dyskusję twórców i organizatorów życia kulturalnego.

Nie ulega wątpliwości, że najpilniejszą łódzką inwestycją kulturalną jest budowa Muzeum Sztuki Nowoczesnej. Dzisiejsza lokalizacja tego muzeum w pofabrykanckim pałacyku, nieprawdopodobna wprost ciasnota jego pomieszczeń, fatalne wręcz warunki magazynowania zasobów muzealnych, urągają wszystkim zasadom naszej polityki kulturalnej deklarowanej w oficjalnych przemówieniach. Jest to tym przykrzejsze, że łódzkie zbiory należą do najcenniejszych na świecie i stanowią dowód dalekowzroczności twórców z grupy a.r., z których inicjatywy zaczęto je już przed wojną kolekcjonować, a dzięki nieustępliwości i pasji kolejnych dyrektorów muzeum, Mariana Minicha i Ryszarda Stanisławskiego zostały poważnie wzbogacone o bezcenne dzieła sztuki awangardowej.

Pisano już o tym wielokrotnie, przypomnę jednak, aby problem ten utrwalić jeszcze wyraźniej w świadomości czytelnika, że obecnie Muzeum może eksponować mniej niż dziesiątą część swoich zasobów. Reszta skazana jest na nieuniknione zniszczenie w magazynach. Jeśli rzeczywiście przykładamy do wszystkiego miarę ekonomiczną, to warto uprzytomnić sobie, że wartość łódzkich zbiorów wielokrotnie przewyższa koszty budowy nowego gmachu muzealnego i wyjątkowo szybko procentuje. Utrata tych dzieł byłaby bezprzykładnym barbarzyństwem, którego słusznie nie powinny nam wybaczyć przyszłe pokolenia. Tymczasem w wywiadzie kierownika Boczkowskiego, czytamy: „Jeszcze w tym pięcioleciu zostanie rozpoczęta budowa nowego gmachu Filharmonii Łódzkiej. Będzie on zlokalizowany również w centrum, w okolicy ul. Głównej. Natomiast dla galerii i Muzeum Sztuki chcemy w tym okresie przygotować dokumentację i wszystkie warunki do rozpoczęcia budowy w następnym planie pięcioletnim".

Skąd my to znamy? O potrzebie budowy galerii mówiło się w Łodzi od lat. Wielokrotnie osobiście słyszałem obietnice, że w kolejnej pięciolatce problem ten, rzeczywiście nabrzmiały, zostanie rozwiązany. Mamy nową pięciolatkę i mamy nawet nadspodziewanie dużo pieniędzy, po czym rozlega się stara płyta: w następnej pięciolatce. Zastanawia wszakże, że choć sprawa budowy galerii nie jest wcale nowa, do tej pory, przez kolejne pięciolatki,

Uniwersytet i społeczeństwo

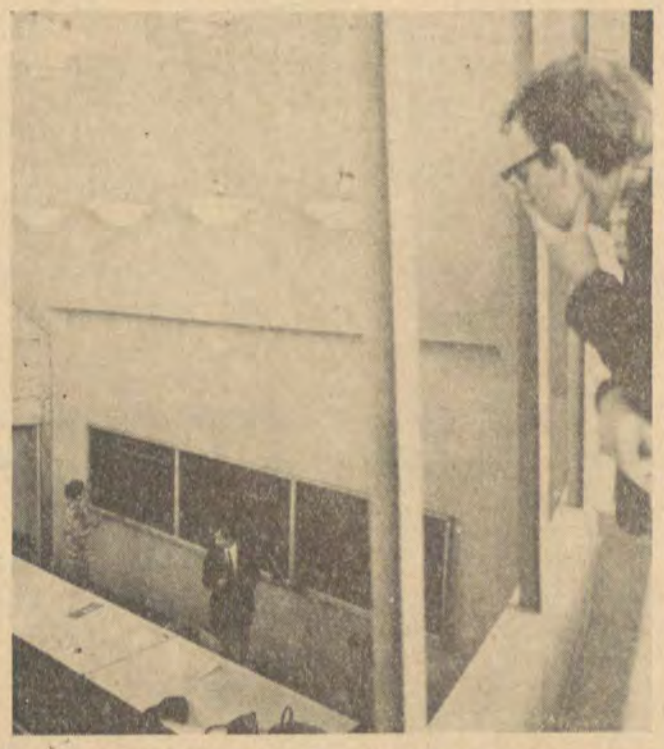

(Dalszy ciąg ze str. 1)

W tym kontekście problemów, pozwoli Pan, Panie Redaktorze, że zadam od razu dwa pytania: — Czy mógłby Pan poinformować naszych Czytelników, jakie najistotniejsze — Pana zdaniem — ma Uniwersytet Łódzki osiągnięcia w badaniach i upowszechnianiu wartości kulturotwórczych? Jakiego rodzaju świadczenia spełnia Uczelnia na rzecz miasta i czego od niego oczekuje w zamian?

PROF DR Z. SKWARCZYŃSKI: Odpowiem na to pytanie. Nie mogę jednak powstrzymać się od uwagi, że jest coś symptomatycznego i żenującego w indagowaniu o racje istnienia Uniwersytetu Łódzkiego. Nie mnie też pierwszemu jako rektorowi wypadło się z tym zetknąć. Zastanawiało to moich znakomitych poprzedników którzy przyszli z innych ośrodków uniwersyteckich. Mnie żenuje jako łodzianina, urodzonego i wychowanego w robotniczym, przemysłowym i ogromnym mieście. W Lublinie, Katowicach czy Gdańsku takich pytań nie zadają.

Przejdźmy jednak do rzeczy. W momencie powołania do życia Uniwersytetu Łódzkiego miasto — bodaj najuboższe z miast wielkich w gmachy publiczne — nie było do tego przygotowane. Decyzja jednak rządu PRL była bezspornie słuszna i na miarę najwłaściwiej rozumianych potrzeb i aspiracji klasy robotniczej, która objęła władzę, na miarę żywotnych potrzeb największego po Warszawie skupiska ludności. Miasto i region jeszcze przed wojną były ogromnie upośledzone, jeśli chodzi o kształcenie kadr z wyższym wykształceniem. Podstawowym zadaniem Uniwersytetu było niedostatkowi temu na niektórych odcinkach zaradzić. Ponad osiemnaście tysięcy dyplomantów naszej uczelni chyba poważnie zasiliło kadry pracownicze miasta i regionu? Aktualnie kształcimy niemal jedenaście tysięcy osób. Na studiach stacjonarnych sześć i pół tysiąca. Resztę na najbardziej rozwiniętych w kraju studiach dla pracujących (zaocznych, wieczorowych i podyplomowych), co zresztą świadczy, że uczelnia prawidłowo reagowała na najbardziej palące problemy środowiska i współobywateli. Rocznie wstępuje w mury naszej uczelni (na oba typy studiów) dwa i pół tysiąca osób. W bieżącym roku wszczęliśmy w Wyższym Studium Nauczycielskim z siedzibą w Zgierzu, integralnej części Uniwersytetu, kształcenie nauczycieli dla szkolnictwa podstawowego województwa. Dokształcamy w naszym mieście absolwentów Studiów Nauczycielskich do poziomu Wyższego Studium Nauczycielskiego.

Krajowe statystyki wskazują, że tempo kształcenia w Uniwersytecie kadr z wyższym wykształceniem choćby tylko dla miasta i województwa nie może osłabnąć. W niektórych dziedzinach nawet winno wzrosnąć i rozwinąć się.

Skoro o wzmożonym przez Uniwersytet potencjale kadrowym miasta i regionu mowa, dodać należy niebagatelną liczbę niemal ośmiuset doktoratów i stu dwudziestu habilitacji u nas uzyskanych.

Pojawieniu się uniwersytetu w mieście — niestety, trzeba to powiedzieć — nie towarzyszyła przynajmniej dostateczna troska o stworzenie nowej placówce odpowiednich warunków. Żaden z moich poprzedników nie mógł stwierdzić, że pod względem lokalowym uczelnia, wszystkie jej główne placówki stanęły na odpowiednim zrębie. Cztery nowe gmachy to dorobek Uniwersytetu w tej mierze za cały okres. Biegnące śród starań i zabiegów lata nie przynosiły widoków na zdecydowaną poprawę. (Korzystniej rozwiązywane były sprawy bytowe studiującej młodzieży). Przeciwnie zapóźnienia inwestycyjne i redukcja środków na rozbudowę w perspektywie dwu najbliższych pięcioleci stawiły Uniwersytet Łódzki w sytuacji dramatycznej. Groziło to eliminacją z udziału w procesie rewolucji naukowo-technicznej, osłabieniem roli w środowisku o wysoko zorganizowanej strukturze miasta i regionu. Pogrudniowy zwrot perspektywę tę zmienił zasadniczo. W zatwierdzonych obecnie planach inwestycyjnych na dwa najbliższe pięciolecia znalazły się: budowa gmachu fizyki oraz chemii, budowa domów studenckich na niemal tysiąc miejsc, własnego hotelu asystenckiego i przychodni zdrowia dla studentów. W pierwszym pięcioleciu mieszczą się całkowicie: ogród doświadczalny dla wydziału Biologii i Nauk o Ziemi oraz wspólna dla środowiska hala sportowa; w drugim natomiast: gmachy dla Instytutu Geograficznego i Wydziału Filozoficzno-Historycznego, gmach dla rektoratu z aulą, gmach dla Studium Wojskowego, następna stołówka i dom kultury dla studentów, dom pracy twórczej dla pracowników Uniwersytetu oraz stała naukowa stacja hydrobiologiczna nad zalewem sulejowskim.

Kulturotwórcza rola Uniwersytetu Łódzkiego nie ogranicza się do pomnażania zastępów inteligencji pracującej dla miasta i województwa i nie zamyka we własnych murach. Uniwersytet Łódzki — jak przystało na Uczelnię socjalistyczną nie tylko jest otwarty dla starających się o podniesienie swych kwalifikacji pracujących. Przecież Uniwersytetowi i skupionym w nim uczonym miasto w ogromnej mierze zawdzięcza swe miejsce na mapie kraju i świata jako ognisko nauki i kultury. Nie ma w tej mierze żadnego porównania z pozycją Łodzi przedwojennej. Aktywność uczonych i pracowników naukowych Uniwersytetu przejawia się w pracy wielu instytucji zbiorowego życia, gdzie pomoc ekspertów jest niezbędna. Organizacje naukowe i społeczne kumulujące energię społeczną oraz inicjatywę kulturalną często stoją ich wysiłkiem. Czy trzeba porównywać stan obecny w Łodzi z sytuacją przedwojenną?

Jeśli mierzyć dorobek naukowy Uczelni liczbą publikacji — to chyba wymowną liczbą jest ich siedemnaście tysięcy od powstania Uniwersytetu, z rocznym ich przyrostem ostatnio około tysiąca. Przytłaczająca większość ich ukazuje się w wydawnictwach innych środowisk uniwersyteckich. Uzyskują tam możliwość druku w ostrej konkurencji — i to jest chyba dobrze. Źle natomiast, że w krajowej i międzynarodowej wymianie walorów naukowych prace naszych uczonych muszą najczęściej nosić stempel obcy, idą również na rachunek tamtych środowisk. A przecież Uniwersytet posiada kilka i pracuje nad umocnieniem dalszych łódzkich szkół naukowych o znaczeniu światowym, by wymienić tylko geografię, socjologię, mikrobiologię, teorię literatury.

Pod wieloma względami — niekiedy w beznadziejnych warunkach lokalowych, bo placówki uczelni znajdują się w 40 budynkach w większości nie nadających się do swych funkcji i rozproszonych po całym mieście — Uniwersytet nie traci z oka i praktycznych, życiowych potrzeb środowiska. Przykładem może być stała stacja hydrobiologiczna i badania nad zalewem sulejowskim, przedsięwzięcie unikalne i doniosłe w skali regionu i kraju. Podjęliśmy to zadanie bez żadnych dodatkowych środków. Obecnie władze miasta zapewniły mu miejsce w swych planach inwestycyjnych. W tej dziedzinie oferujemy również naszą współpracę nad zalewem na Warcie i oczyszczalnią ścieków. Geografów uniwersyteckich zapewne zaprzątną sprawy strefy żywicielskiej Łodzi. Chemicy współpracują z zakładami produkującymi leki i barwniki. Prawnicy na naszym gruncie badają funkcjonowanie Rad Narodowych. Historycy na przykładzie naszego miasta opracowują historię industrializacji kraju i rozwoju klasy robotniczej. Historycy literatury opracowują życie literackie i dorobek pisarzy łódzkich. Terenem badań w zakresie socjologii pracy i kultury jest również Łódź.

Nie starczy nam miejsca na wymienienie wszystkich nauk uniwersyteckich, które wydatnie uczestniczą w życiu miasta i województwa. Również w procesie upowszechniania kultury, jakkolwiek kultura to nie tylko to, co się upowszechnia. Kulturotwórcze jest wszczepianie przez naukę nawyków do systematycznej i wytężonej pracy, rozważnego krytycyzmu, ostrożności we wnioskowaniu, przekonania, że los człowieka i ludzkości zależy od rozumnego i planowego współdziałania w imię postępu i socjalizmu.

Jeśli nie wszystkie możliwe dziedziny współpracy na rzecz środowiska, miasta i województwa objęliśmy, mamy prawo w imię wspólnych celów oczekiwać ich zartykułowania przez naszych potencjalnych partnerów.

REDAKCJA: Jakie warunki winny być spełnione, aby dotąd rozwijane funkcje Uniwersytetu zintensywikować i tym samym — w sposób widoczny i powszechnie odczuwalny — podnieść rangę naszego ośrodka naukowego, jego udział w poddźwignięciu naszego miasta? Innymi słowy, jakie główne hamulce widzi Pan w dalszym rozwoju kierowanej przez Pana placówki.

PROFESOR DR ZDZISŁAW SKWARCZYŃSKI: Podstawowy warunek — to nie dobra, ale przyzwoita baza lokalowa. Brak jej fatalnie odbija się zarówno na roboczym budżecie czasu studentów jak i pracowników naukowo-dydaktycznych. Drugi — to doinwestowanie Uczelni w aparaturę naukową. Środki przydzielane centralnie nie mogą potrzeb zaspokoić. W niektórych dziedzinach życzliwość i pomoc zakładów pracy i rad zakładowych bardzo by się przydała. Niestety, nie zetknąłem się w szerszym zakresie z zaoferowaną pomocą. Nie zetknąłem się ze zdaniem, że wyposażenie łódzkiej uczelni jest punktem honoru zakładów produkujących w naszym mieście. Że wyposażenie naszego uniwersytetu, kształcącego nasze dzieci jest naszym dziełem i naszą dumą.

Pilną również potrzebą jest uporządkowanie nie tylko dla potrzeb uniwersytetu, ale całego środowiska naukowego — spraw wydawniczych. Nauki społeczne i humanistyczne w obecnej sytuacji pozbawione są właściwych bodźców rozwoju.

REDAKCJA: W przekonaniu, że treści zawarte w wypowiedzi Pana Rektora dotrą tam, gdzie trzeba i być może przyczynią się do poprawy sytuacji — dziękuję w imieniu Czytelników i Redakcji za wszystkie uwagi i wnioski mające znaczenie w ogólnopolskiej dyskusji przedzjazdowej.

Rozmowę zanotował:

WITOLD SŁOTWIŃSKI

---

nie potrafiliśmy się zdobyć choćby na dokumentację? Że po dziesięciu latach dyskusji i obietnic startujemy z pozycji zerowej.

Może to nawet i dobrze, bo warto jest rozważyć koncepcję budowy Muzeum Sztuki Współczesnej i galerii jednocześnie, w jednym gmachu, co wydatnie zmniejszyłoby koszty takich inwestycji. Charakter łódzkiego muzeum sprawia, że przynajmniej ideowo nie byłoby przy takiej fuzji sprzeczności interesów. Muzeum to zresztą już dzisiaj jest najpoważniejszą w mieście placówką wystawową i dzięki temu mieliśmy okazję zobaczyć szereg znakomitych wystaw artystów zagranicznych. Ta działalność wystawiennicza przyniosła zresztą nie tylko spektakularne rezultaty. Niedawno prasa doniosła, że ogromny sukces odniosła w Wielkiej Brytanii wystawa polskiej sztuki współczesnej. Pod tym pseudonimem kryła się ekspozycja dzieł łódzkiego środowiska plastycznego. Recenzje z wystawy w Anglii były tak pochlebne, że natychmiast przyszły zamówienia z Nowego Jorku i Tokio. Może więc właśnie tutaj wiedzie droga ekspansji łódzkiej sztuki w szeroki świat? Wyodrębnienie miejsca na galerię w nowym gmachu Muzeum Sztuki Współczesnej podniosłoby niewątpliwie rangę wystaw, a dotychczasowa galeria w parku im. Sienkiewicza, mogłaby uzupełniać całość łódzkiego wystawiennictwa.

Nie jestem ekonomistą, nigdy też nie sporządzałem dokumentacji kosztorysowych, nie przypuszczam jednak, aby budowa gmachu muzealnego była na tyle kosztowna, żeby nie można jej było rozpocząć w ramach posiadanych środków jeszcze w bieżącej pięciolatce. Trzeba by jednak dokonać zasadniczych korektur w planach inwestycyjnych Wydziału Kultury, co jest zresztą jedną z intencji mojej publikacji. Bowiem przedstawiony w wywiadzie kierownika Boczkowskiego program rozwoju życia kulturalnego w Łodzi jest dalece anachroniczny i nie świadczy o dalekowzroczności. Stanowi on niemal mechaniczną kopię podobnych planów z poprzednich pięciolatek, chociaż przez 27 lat nowej rzeczywistości społecznej wielokrotnie zmieniały się nasze wymagania i potrzeby w tej dziedzinie.

Doceniam potrzeby oświatowe Łodzi, ale wydaje mi się, że na planie tym zaciążyła wizja Łodzi powiatowej, w której każda dzielnica stanowi żyjącą życiem autonomicznym i zaściankowym jednostkę administracyjną. Jako człowieka piszącego książki cieszy mnie na przykład rozbudowa sieci bibliotek (w nowej pięciolatce ma ich powstać 12), choć z drugiej strony zastanawiam się, czy dostatecznie wykorzystujemy już istniejący potencjał. Zwiększając liczbę placówek niewątpliwie dokonamy potrzebnych przesunięć topograficznych, ale jednocześnie jeszcze bardziej rozproszymy siły i środki, które są do naszej dyspozycji. A przecież wystarczy zajrzeć do jakiejkolwiek biblioteki rejonowej, aby przekonać się, jakie są tam ogromne braki w księgozbiorach gromadzonych najczęściej przypadkowo. Trudno mi jest zrozumieć, dlaczego brak w nich przynajmniej pełnego kompletu pozycji wydanych choćby przez macierzyste Wydawnictwo Łódzkie. Toteż główny wysiłek należałoby skierować nie na wznoszenie nowych ścian, które zapewne znakomicie poprawią wskaźniki statystyczne i przydadzą optymizmu sprawozdaniom, ale na takie uzupełnienie zbiorów bibliotek już istniejących, żeby w pełni mogły realizować swoje funkcje kulturalno-oświatowe.

To samo dałoby się powiedzieć o domach kultury. Mamy ich w Łodzi niemało, ale, prawdę powiedziawszy, rzadko w nich można spotkać tych, dla których zostały zorganizowane. Jest tajemnicą poliszynela, że bywalcami Międzyzakładowych Domów Kultury jest dziatwa szkolna i renciści, natomiast wyjątkowo tylko spotkamy w nich człowieka w wieku produkcyjnym, czy to robotnika czy też przedstawiciela inteligencji technicznej. Świadczy to przede wszystkim o tym, że nie potrafiliśmy wychować odpowiednich kadr kulturalno-oświatowych, z pasją i zaangażowaniem oddanych swojej pracy. I na tym odcinku fikcja sprawozdawcza zastępuje niekiedy realne działanie. Czy wznoszenie nowych obiektów tego typu, kosztownych przecież nie tylko w budowie, ale i eksploatacji, nie pogłębi jeszcze tego deficytu działalności?

Są to sprawy, które wymagają chyba przeanalizowania. Bowiem, jak już wspomniałem, istnieje u nas tendencja rozpatrywania problemów kultury poprzez kategorie bazy, poprzez kategorie budżetowe. Rzadko kiedy administratorzy życia kulturalnego wnikają w problemy merytoryczne, rzadko kiedy mają odwagę inspirowania i rozwijania rzeczywistego ruchu kulturalnego. A są przecież sprawy, które nawet w ramach istniejącej bazy domagają się niemal natychmiastowej realizacji. Jedną z takich spraw, o której wielokrotnie pisały „Odgłosy", a także ja osobiście, jest problem powołania w Łodzi, dysponującej wszystkimi ogniwami produkcyjnymi, Zespołu Realizatorów Filmowych, to znaczy placówki twórczej skupiającej reżyserów, operatorów, scenarzystów, kompozytorów itd. Dawałoby to rzeczywistą szansę integracyjną. Sceptykom, którzy twierdzą, że miasta nie stać na tego typu działalność, gdyż rzekomo nie ma w nim twórców, przypomnę sprawę podniesioną przez jednego z uczestników naszej dyskusji o sytuacji kultury: „Nie ma rozwoju bez terenów rozwoju". Świadczy o tym chociażby doświadczenie Wydawnictwa Łódzkiego, które uruchomiwszy dział przekładów bardzo prędko znalazło doskonałych translatorów na miejscu. W przypadku filmu nie potrzebna jest nawet inicjatywa inspiratorska: dobrze wiadomo, że blisko trzydziestu zamieszkałych w Łodzi twórców filmowych dojeżdża do pracy do Warszawy, wiadomo także, że w Łodzi działa Szkoła Filmowa, którą corocznie opuszczają nowe roczniki absolwentów. A więc sprawa utworzenia Zespołu Realizatorów Filmowych to tylko kwestia zorganizowania tych sił, które działają w rozproszeniu a nierzadko muszą szukać chleba poza miejscem zamieszkania, nie wchodzą tutaj w grę żadne problemy inwestycyjne, poza zakupem paru biurek i maszyny do pisania.

Trzeba by także dla ożywienia działalności twórczej przywrócić zlikwidowane przed laty nagrody artystyczne miasta. Nagrody te stać by się mogły potężnym instrumentem polityki kulturalnej, a poszukiwanie kandydatów do takiej nagrody i publiczna dyskusja pozwoliłyby chyba zrealizować niewykonalny do tej pory postulat: rzeczywistą analizę dorobku twórczego poszczególnych łódzkich środowisk twórczych, a tym samym ich głębsze, już nie tylko sprawozdawczo-formalne poznanie.

Nie twierdzę zresztą, że w ten sposób usuniemy wszystkie białe plamy w łódzkim pejzażu kulturalnym. Wydaje mi się jednak, że już dziś musimy zastanowić się nad rangą i hierarchią naszych potrzeb w dziedzinie kultury. Szczupłość środków finansowych nie stanowi tutaj żadnego usprawiedliwienia. Wprost przeciwnie: ograniczoność nakładów zobowiązuje nas do tego, aby wydatkować je z maksymalną rozwagą i celowością. Szczupłość środków nie jest równoznaczna ze szczupłością ambicji. Chodzi przecież o wychowanie współczesnego człowieka.

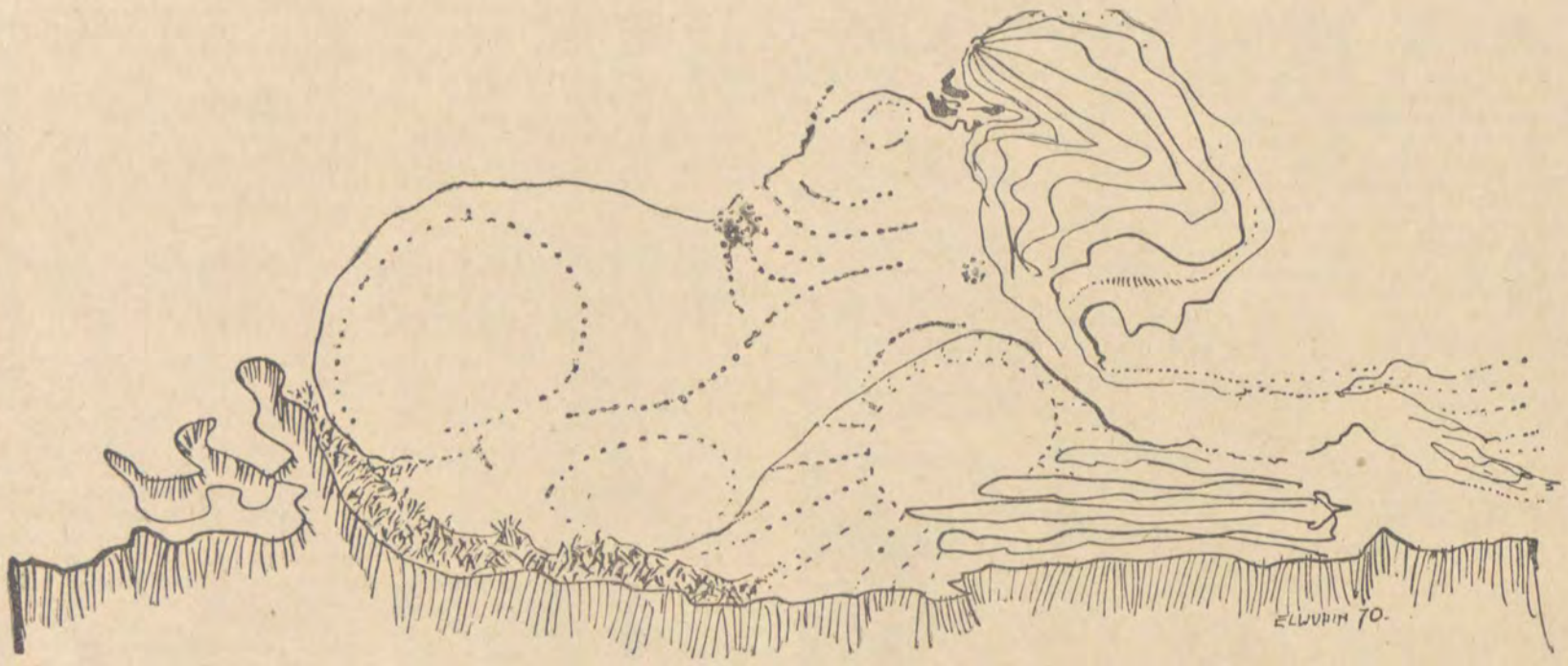

TADEUSZ STĘPOWSKI

Na stypie Co za natura!...

Weterana plebiscytu, Jana Hocha (ojca mu pułkowe szrajbery w wojsku z Wysockiego przechrzciły) nigdy nie musiałem długo prosić o gadkę, kiedyś taką mi opowiedział, frywolną.

— Mazury, to strasznie śmiszne ludzie — (jako prawy Warmiak, miał pan Jan oko i ucho na śmieszności mazurskiego charakteru wyostrzone). — Ilem razy na Mazury nie pojechał, pod one ich „Scytno", czy pod Nibork, zawszem się uśmiał do rozpuku, a raz tom mało nie umarł ze śmiechu.

Kawalerczakiem prosto z wojska — krótko kajzerowi maniebrowałem, bo ojczulek ciężko zachorzał i jako jedynaka musiały mnie junkry odpuścić — pojechałem aż pod Szczytno ciotunię odwiedzić, co się — wdowa — aż tam za luteroka wydała. Przejeżdżam konikiem przez Pasym, patrzę, prowadzą się Mazury z pogrzebem. Wiosna była ciepluśka, słoneczna, a oni za tą trumną, jak jeden w ciężkiej czerni — chłop w chłopa w długim żakiecie, w sztywnym kołnierzyku, w cylindrze na półtora łokcia, a niektórzy to i w mantlu z pelerynką. Białki też, a jakże, na czarno — każda te sześć spódnic po kostki przepisowo dźwiga na biedrach, a na głowie watowany czepiec. Idą w onym kondukcie całą pasymską gromadą, śpiewają tak smętnie, że koń by się poplakał, też białki sznoptuszków od oczu nie odejmują, a i chłop co i raz to któryś czerwonym nochalem w fular siąka. Na przedzie wiodą kantora (tak oni organistę mianują) — we dwóch tęgich chłopów, bo tak już tego słowika kirchy zaprawić zdążyli, że nawet stać nie poredziłby, cóż dopiero uroczyście kroczyć. Śpiewom przewodzić pan kantor usiłuje, ale jeno popiskiwanie dobywa z gardzieli.

Zjechałem wasągiem na bok, zeskoczyłem, kapelusz zdjąłem, żegnam się pobożnie — luterok nie luterok, a zdrowaśka się należy. Naraz patrzę, a tu ciotunia we własnej osobie od konduktu do mnie podbiega. Przywitaliśmy się, a ona: „Jasiulecku, psianknie co na kuma naszego pochówek przibywos. Ino cemu nie w cerni? Nu, wolaboska! oddej konika byle siureckowziu, do Zabków go doprowadzi, a sam dołancaj do noju, dołancaj żiwo!".

Dołączyłem tedy do luterskich żałobników. tyle tylko na ciotunię rozżalony, że się tak rychło po mazursku „scypać" nałożyła.

Po przykładnym Marcina Żabki pochówku zasiedliśmy w domu żałoby do uroczystej stypy. W ogromnej izbie ustawiono pod ścianami ławy i stoły, a pod ławami — że to wiosna była — w ćwierciowych koszach bez kabłąków gęsi siedziały na jajach. Usadowiła się więc gromada nad gęsiami — białki pod jedną ścianą, chłopy przystojnie naprzeciwko i w grobowym milczeniu, sznoptuchami manewrować nie zapominając, dalejże sięgać do mich z kaszanką na gorąco, z jajecznicą na szpeku, słodkim kuchem zagryzając i sznapuchą a piwem podlewając obficie. Pan kantor jeno kiwał się na honorowym miejscu bezczynnie, tyle, że pełnego kornusa raz, drugi do gębusi dźwignął, połowę na krawat wylał, połową się zakrztusił...

Tak dobre pół godziny trwała nabożna, mlaskaniem jeno zakłócona cisza, ale nadeszła pora, kiedy wszystkie oczy na kantorze spoczęły i usłyszałem donośny szept — „Panie kantor, mowa!". Pan kantor, choć pijaniusieńki, jak nieboskie stworzenie, wzdrygnął się na to wezwanie, zamrugał oczyma, popróbował wstać, nie poredził, a tu już drugi raz, i czwarty, i piąty — „Panie kantor, mowa!"... Bo trzeba wiedzieć, że żadne chrzciny, ani wesele nie może się obejść na Mazurach bez kantora mowy, a cóż dopiero pogrzeb! Mocował się tedy z obezwładniającą go sznapuchą nieszczęsny kantor, ile sił i tyle dokonał, że z ławy wstał i oparty plecami o ścianę, trzymał się na nogach. Ba! ale to jeszcze nie mowa... Do mowy było o, ho, ho...

Zmartwieli wszyscy, a zwłasza starsi zboru, bo stypa bez mowy nieboszczyka sławiącej, koniecznie przez kantora wygłoszonej — okropny dla rodziny despekt! A tu, rodzina godna, wykosztowała się z całego serca. Wzięli tedy siedzący obok kantora starsi patrzeć po sobie, naradzać się szeptem, aż najbliższy wspiął się nieszczęsnemu do ucha: „Panie kantor... A dyć, ulzyjcie se... Nic sia nie wagujcie! stoły płótnem do polepy psykryte, to białki nie pomniarkują"... Pan kantor mrugnął przytomniej, nieznacznie sięgł prawicą ku sztuczkowym, i... wrzasnął nagle tak rozdzierająco, aż się wszyscy na równe nogi porwali.

Tak to jest, mój panie! — wychichotawszy się do syta, kończył gadkę Jan Hoch. — Strasznie niebezpieczna bestia taka długoszyja gęś pod biesiadną ławą... Zamiast mowy, wielkiego nasłuchaliśmy się na onej stypie kantorowego lamentu, a ja, tak się od niepohamowanego śmiechu kulgałem, aż mnie zgorszona ciotunia przegnała precz, do domu, srogo nakazując, żebym przed ojczulkiem stanął do karnego raportu. Posłusznie to uczyniłem i skarcił mnie ojczulek, owszem, utyskując, żem dobre wychowanie w niemieckim wojsku zagubił. Ale utyskiwał krótko, bo go nagle wielki śmiech porwał i obaj my się po izbie kulgali, aż nas matulka wodą skropić musiała.

Dowiedziałem się, że mój ekszastępca w magistracie „Perły Mazur" zgodził się po dwudziestu czterech latach burzliwej kariery przyjąć zasłużoną emeryturę i że od roku gospodaruje na przedmieściu Waldowskim. Postanowiłem „kapitana" Wiktora Kuczyńskiego odwiedzić, puszczając w niepamięć wszystkie owe „drobnostki", którymi illo tempore życie mi urozmaicał. Przyjął mnie, owszem, łaskawie i jakby wstydząc się rezydencji, dopiero przestrajanej na willę ze zwykłego mazurskiego murowańca, od progu pociągnął do ogrodu, zlecając połowicy, aby podwieczorek podała do altany. W onymż ogrodzie otworzyłem oczy szeroko — najzawołańsi botanicy — pomologowie nie mieliby tu nic do zarzucenia, a złoty medal do przyznania. — Jabłonie, grusze i śliwy najpiękniejszych odmian lśniły gładkimi pniami, pyszniły się obciążonymi owocem konarami. W warzywniku za sadem grzędy twardogłowej kapusty, olbrzymich kalafiorów, szerokolistnego szczawiu, zielonego groszku wysokości rosłego chłopa, pomidorów wysokopiennych i krzaczastych bezpalikowych. Widząc zachwyt w moich oczach, Wiktor Kuczyński, mławiak starowny, pogłębił uśmiech.

— Cóś pięknego, nieprawdaż? — okrągłym gestem pobłogosławił krestencję. — Bo ja, widzisz burmistrz, na wszystkim się znam, ale na ogrodnictwie, to od nieletniego siurka i najlepiej.

— Proszę! a ja prezesa miałem za urodzonego urzędnika — skłamałem niewinnie.

— A, co! — opiekłe lico rozkwitło pełnią satysfakcji. — Nie mogę powiedzieć, urzędowało się! Kiedy po was ów fotl burmistrzowski przejąłem, miasto się dźwigło w oczach. A na starostwie w Górowie Iławeckim kiepski byłem? Albo prezesem PZGS w Suszu? Ja i teraz jeszcze z mendel tych tam różnych funkcji społecznych ciągnę i bez nijakiego wstydu.

— Ba! odznaczono prezesa wielokrotnie.

— No! i nie na piękne oczy. Ale przed wojną, możesz burmistrz wiedzieć, to ja po sadach chodził bez całe dwadzieścia lat. W sadowniczej budzie żem się urodził i sadownikiem, czyli że też badylarzem zostawałem, póki Ludowa każdej jednej mądrej głowy na urzędy nie zapotrzebowała.

— To i tatuś prezesa?

— No! Ojczulek u hrabiów Sobańskich na Podolu basztany dzierżawił — na basztanie żem się urodził, a jak miałem pięć lat, to pięciofuntowego arbuza potrafiłem za jednym zamachem skonsumować.

— Piękne tradycje, pochwalić, że kontynuowane.

— A, co! One posiadło, tom ja sobie już w czterdziestym piątym zabezpieczył, jeszcze pod burmistrzem wickowałem. I proszę! — wskazał mnogie rzędy drzewek w sile wieku. — Jest o co ręce zahaczyć na stare lata, nie?

I synów będzie czym obdzielić w testamencie.

— Kogo?! — żachnął się niespodziewanie wszechstronnie zasłużony pionier Ziemi Odzyskanej. — Ja bym im nadzielił... po pięćdziesiąt batów na gołe zady! Burmistrzu! Jak ich pięciu mam, żeby się jeden, zła krew, we mnie wdał! Nie powiem, żeby głupie były — najmłodszych bliźniaków wstawiłem na Gdańską Politechnikę, trzech — w Toruniu u Kopernika, najstarszy już dyplom mecenasowski uskutecznia.

— To pogratulować.

— Wypchaj się burmistrz! Żeby choć jeden miał ten glik do warzywa.

— Powoli, prezesie! Na razie studiują w oderwaniu od grządek, gdzie mieli nabyć pożądanych zamiłowań?

— W oderwaniu, burmistrz zaznaczasz? Toć ich cholera na każde lato do domu przynosi! Teraz ich może ni ma? Dziś ich może z sadu cztery razy nie wyganiałem?

— Noo, jak prezes wyganiasz!...

— Popatrzeć! — chwycił mnie zawiedziony ojciec pod pachę i przyholował do grzędy zielonego groszku — wzdłuż niej na całej przestrzeni ścieżką zasłana była grubo łuskami strąków.

— Widzisz burmistrz tą znistę?! — zgroza zabarwiła tębr głosu Wiktora Kuczyńskiego. — Co za natura! Wpadną, zlotrują, stratują, cztery ziarka głupi jełop zećpa, a kopę niedorzeniałych strąków oberwie, żeby pod kopyta rzucić. A popatrzeć się na ten słonecznik — cóś pięknego! Myślisz burmistrz, że choć ćwiartkę oleju dam wybić... Jeszcze ziarno miętkie we środku, sam mlicz — już jeden z drugim wpadnie... Popatrzeć na te ogórki — ładnie kwitną i nie pusto — z totych grządek koło słonecznika najwięcej się zapowiada, a nic nie będzie... Zdepcą, zlotrują po słonecznik latając!

— Mają chłopcy apetyt, w tatę się wdali.

— Ale gdzie tam! Apetyt mają na piwo, żeby im pozwolić, dzień w dzień antałek by w pięciu wyżłopali. Widzisz burmistrz te pomidory? — po wczesnym szpinaku. Szpinak miałem na urząd, liść mięsisty, jędrny, choć na surowo wtrajać, zajadali my się z żoną na wszystkie sposoby — z siekanym jajkiem i w omlecie, zapiekany z grzanką i z czosnkiem po żydowsku. Najzdrowsze warzywo! Myślisz burmistrz, że który do gęby wziął? Sałata, marchewka, botwina — toże samo! Czym te cholery żyją, jak są poza oczami, w głowę zachodzę... Popatrzeć! — porzeczki czarne, czerwone, białe — aż się krze uginają, dorzeniałe, apetyczne, toż samo wiśnie — przechodzą, jak koło truciny... Ale za zielone antonówki już się łapią! — spróbuje zębem, odłupie kawałek i rzuci... O! aż biało pod drzewem od świeżych niedogryzków... Co za natura! W kogo się cholery wplęgły?... Rozalia!! — odwołał podążającą ku altanie z pięknie wypełnioną tacą, małżonkę. — A weź, kobieto, koszyk, zbierz te jabłka co huncwoty natrzęsły, bodaj się octu zrobi.

Przy podwieczorku, uświetnionym karafą ajerkoniaku, przekonywałem rozżalonego Wiktora, że jego będzie za grobem zwycięstwo: odezwie się prędzej, czy później w dzisiejszych letkiewiczach instynkt zieleniacki. Nie uwierzył.

— Ot, córki pan Bóg nie dał — westchnął, rozlewając w kieliszki resztę słodko-tłustego alkoholu. — Dziewuchę mając, już ja bym sobie zięcia dobrał odpowiedniego. Ale co tu burmistrzowi gadać... Też był zawsze o rzetelny sposób do życia niedbały. Zabezpieczył choć sobie pan Wranica własnościowe mieszkanie na stare lata?

Uspokoiłem mego eks-zastępcę, że i owszem, pół roku temu zawarłem z Prezydium MRN akt rejentalny na zajmowane od dwudziestu czterech lat mieszkanko.

— A raty będzie miał z czego płacić? — przymrużył prezes oko i humor wyraźnie się staronemu poprawił...

TADEUSZ ŚLIWIAK

Tryptyk o wieży

I.

Ta wieża zaczyna się od głosów ludzi
od ich okrzyków skierowanych w niebo
Prawdy chóralną wznoszą się kadencją
Słowo ze zdaniem zwęźla się i znaczy
I mniej już wrzawy a skupienia więcej
Słychać już tylko pojedyncze głosy
Wreszcie ten jeden
co brzmi jeszcze chwilę
i w szept przechodzi
aby u wierzchołka
została tylko
sama
myśl

II.

Bo czymże wieża tak wiązana w górę
że dotknąć brzegu drugiego nie może
mocno o ziemię wsparta w rozkroku
wznosi się tracąc swój pokutny ciężar
Już coraz lżejsza
Już spowinowacona
z wiatrem co niesie białe pióro ptaka
I ustaje w wysiłku
bo to co tak dźwiga
jest tylko igłą
wyostrzoną w światło

III.

Bo wyrzucony z dłoni kamień w górę
przez krótką chwilę rysował mi wieżę
A tam gdzie stanął
tam gdzie znieruchomiał
zaczęła się tęsknota Ikara

JAN KOPROWSKI

Conrad na morzu

Nie przypuszczałem, że książka ta *) ukaże się kiedykolwiek po polsku. Sprowadziłem więc sobie oryginał nowojorski „The Sea Years of Joseph Conrad" oraz przekład niemiecki (NRF) „Joseph Conrad — Die Jahre zur See", ponieważ interesuje mnie wszystko, co dotyczy autora „Lorda Jima". A tymczasem w roku bieżącym (całkiem niedawno) Wydawnictwo Morskie obdarzyło nas polskim tłumaczeniem tej książki i zapowiada dalsze pozycje przekładowe, poświęcone Conradowi. „Morskie lata Conrada" napisała amerykańska dziennikarka, Jerry Allen, która poświęciła dziesięć lat życia na gruntowne przebadanie tematu swej pracy, słusznie uznanej za pionierską.

Józef Conrad Korzeniowski wszedł po raz pierwszy na statek w Marsylii 11 grudnia 1874 roku jako siedemnastoletni chłopiec, a pożegnał się z morzem 18 stycznia 1894 w porcie londyńskim, mając trzydzieści pięć lat życia. Pływał na dwudziestu okrętach, służbę zakończył w stopniu drugiego oficera, w rok później ukazała się jego pierwsza powieść „Szaleństwo Almayera". Przed laty toczył się spór o to, czy Conrad jest pisarzem marynistycznym. Przeciwnicy tego poglądu uważali, że morze jest wprawdzie tłem i scenerią wszystkich bez mała utworów Conrada, ale istotna ich problematyka niewiele ma z tym wspólnego. Jerry Allen nie roztrząsa tego zagadnienia. Jednakże z dokładnego opisu kolejnych rejsów Conrada i konfrontacji jego przeżyć i doświadczeń morskich z twórczością literacką da się wyprowadzić jeden tylko wniosek: nie byłoby Conrada-pisarza bez Conrada-marynarza. Tak więc spór, czy twórczość Conradowska ma charakter typowo marynistyczny czy też nie, wydaje się sporem akademickim, mało przydatnym do oceny jego twórczości. Gdy czyta się takie książki jak Jerry Allen, zdumiewa nas ogrom poświęcenia, nakładu środków i sił oraz cierpliwości w dążeniu do ustalenia najdrobniejszego nawet faktu z życia Conrada na morzu. Autorka dotarła do archiwów indonezyjskich, holenderskich, angielskich i francuskich, przebadała marszruty morskie Conrada, dzienniki okrętowe, jego korespondencję, pracowicie gromadziła opowieści ludzi żyjących o nim, aby na podstawie tych skrupulatnie przeprowadzonych ustaleń zanalizować relację pomiędzy życiem i dziełem pisarza. Jak się ta analiza przedstawia? Potwierdza ona to, co badacze literatury wiedzą od dawna: twórczość literacka jest nieustanną autobiografią pisarzy. Między tym, co Conrad przeżył na morzu, a tym, co później opisał, zachodzi ścisły związek. Oczywiście bohaterów swoich opowieści obdarzał zazwyczaj większą świadomością, niż posiadały ją ich pierwowzory. Jest to dobre prawo pisarza i Conrad nie stanowi tu wyjątku. Co natomiast w twórczości tej stanowi wyjątek, to surowy osąd postępku bohaterów. Wydaje się, że obok Dostojewskiego Conrad jest jednym z nielicznych pisarzy, którzy bohaterom swoich dzieł stawiają heroiczne wymagania i jeśli nie sprostają oni zadaniu — srogo są ukarani.

Oceniając dość wysoko poznawcze wartości książki Jerry Allen o Conradzie, nie na wszystkie jej osądy możemy się zgodzić. Wręcz niezrozumiała jest niechęć autorki do ojca Conrada — Apolla Nałęcz Korzeniowskiego i, zwłaszcza, do jego wuja i opiekuna — Tadeusza Bobrowskiego. Słusznie też uczynili polscy wydawcy, korygując te opinie w przypisach, opartych na recenzji wybitnego conradysty — Zdzisława Najdera. Zresztą najlepsze świadectwo obydwu tym ludziom wystawił sam Conrad. Ileż dyskretnego uwielbienia kryje się w tym, co mówi o nich po latach na kartach „Ze wspomnień".

„Morskie lata Conrada", składające się z czterech części (I. Na lądzie, II. Na morzu, III. Na rzece, IV. Ludzie), posiadają przejrzystą, znakomicie udokumentowaną budowę, cenne aneksy, przypisy i bibliografię. Ozdobiono je też materiałem ikonograficznym. Szkoda tylko, że polskie wydanie zawiera znacznie mniej zdjęć, niż wydania angielskie i niemieckie. Trudno zgadnąć — dlaczego. A i o dobór zdjęć można by się pospierać. Nie zmniejsza to wartości książki, którą nieźle na ogół przełożyła na polski Maria Boduszyńska-Borowiakowa.

*) Jerry Allen: „MORSKIE LATA CONRADA", Wydawnictwo Morskie, Gdańsk 1971, str. 514, cena: zł. 50. —

JÓZEF H. WIŚNIEWSKI

Antoniego Kasprowicza dzielnica młodości

Chyba żadna książka poety nie mogłaby go tak utwierdzić na pozycji prozatorskiej, jak właśnie ta *) — Antoniego Kasprowicza. Choć z drugiej strony trzeba podkreślić koniecznie, że ten tom opowiadań nie mógłby wyjść spod pióra człowieka, który wcześniej nie parał się twórczością poetycką. Nie znaczy to bynajmniej, że atuor obdarzył nas książką „poetyzującą". Posługuje się on bowiem męską, jędrną prozą pozbawioną jakichkolwiek pięknostek. Nawet wyeksponowane tu, siłą rzeczy spatynowane starocie łódzkie zostały opisane celowo chropawo. Walor poetycki tej książki polega na czymś innym. Opowiadania te korespondują z problematyką prezentowaną nam w wierszach Antoniego Kasprowicza. Autor potrafił od pierwszej strony wprowadzić nas w nastrój stworzonego przez siebie świata, świata nie odtwarzanego, choć minionego, lecz właśnie stworzonego na nowo, niezwykłą siłą wyobraźni poetyckiej i chyba właśnie dlatego tak bardzo autentycznego. Zostaliśmy wprowadzeni w czas młodości, względnej młodości naszego przemysłowego kolosa, młodości jego proletariatu i młodości samego autora.

Jak wskazuje na to tytuł książki — autor wprowadza nas na poddasza proletariackich domów, podwórka i w zakamarki proletariackiej dzielnicy. Ukazuje życie ludzi tej dzielnicy niejako od wewnątrz utożsamiając się często z bohaterami swoich utworów i współczując z nimi. Nie jest to jednoznaczne z eksploatowaniem wątków autobiograficznych, choć autor niewątpliwie skorzystał z doświadczeń własnej młodości. Przecież należy on do grona pisarzy, którzy wyszli ze środowiska proletariackiego z bogatym bagażem doświadczeń osobistych i społecznych. I to jest ważne z punktu widzenia autentyzmu tej i innych jego książek.

Ślad tego, że Kasprowicz prozaik terminował u Kasprowicza poety odnajdujemy w jeszcze inny sposób. Mamy tu na myśli walory formalne tych opowiadań. Są one bowiem wzorem zwartych konstrukcji, ich prostota jest wysublimowana i przypomina najlepsze utwory poetyckie Kasprowicza. Każde słowo, każdy zwrot jest w tej prozie funkcjonalny. Nie rażą tu, jak niekiedy w młodej pretensjonalnej prozie tzw. „mocne słowa". Bez nich obraz życia bohaterów opowiadań Kasprowicza byłby niepełny. Jako czytelnik związany z tym miastem jestem autorowi wdzięczny za te jego: ryczki, kanonki, tytki, globiny i inne słowa, których znaczenia trochę młodsi ludzie już nie znają, a które funkcjonowały w obiegu bodaj jeszcze po wojnie właśnie w proletariackich dzielnicach Łodzi. Przypomniano nam w tej książce znaczenie innych słów, które zostały także wymazane przez dzieje, a bez których nie dałoby się chyba rysować dramatu tamtych ludzi. Nie wszyscy pamiętają już, co to była: eksmisja, komornik, kupowanie „na książkę", lub borgowanie.

Antoni Kasprowicz nie spisywał jednak wspomnień z życia jednej proletariackiej dzielnicy naszego miasta. Owszem — posłużył się realiami z tamtych czasów, być może przywołał na pamięć nawet jakieś opowieści „z życia", jakie można było zasłyszeć od sąsiadek siadujących starym zwyczajem na ryczkach pod bramami domów przedwojennych Chojen, lub Widzewa. Doszukiwałbym się nawet inspiracji tych ludowych opowieści w jego opowiadaniach. Lecz ich wartość polega na czym innym, na stworzeniu jakiejś syntetycznej wizji świata proletariackich przedmieść dawnej Łodzi. I nasz autor czyni to w sposób na tyle doskonały, że jego opowieści stają się bardziej prawdziwe, niż „życie". Pokazał on nam bowiem w tych krótkich opowiadaniach, posługując się głównie obrazem, ograniczając refleksję kawał losu ludzkiego ze wszystkimi jego uwarunkowaniami. Dzięki temu proza ta nosi cechy dzieła nie tylko autentycznego, lecz także uniwersalistycznego. Kasprowicz nie stronił w swym dziele od problematyki moralnej, z odwagą pokazał nam ścieranie się postaw ludzkich, nędzę i poniżenie, a także wielkość człowieka, które mogą się ujawnić niezależnie od środowiska w jakim żyje i działa bohater. Być może, gdyby pokusił się on o zmianę realiów nie czytalibyśmy tej książki z takim zainteresowaniem, lecz to problem marginesowy, chodzi nam bowiem o wykazanie, jak bardzo nośne są te opowiadania.

Dynamika i dramatyzm sytuacji wynikają u Kasprowicza z akcji. Znajdziemy tu mniej opisu, mniej refleksji, celowo ograniczanej do koniecznego minimum, a więcej akcji, owego dziania się, które pobudza wyobraźnię czytelnika.

Oto pierwszy z brzegu przykład: „Rodzina Agaciaków", to opowiadanie o ludziach, którym równie biedni, jak oni sami — sąsiedzi przyszli z pomocą w momencie, gdy groziła im eksmisja. Na temat solidarności biednych wylano morze atramentu, Kasprowicz pokazał nam, jak rodziła się owa solidarność na sześciu niewielkich stronach druku swojej książki. Sądzę, że po tej lekturze można by sobie darować grube tomiska uczonych dysertacji na ten sam temat. To opowiadanie, to prawdziwy majstersztyk w gatunku short story, atakujący nie tylko wyobraźnię, lecz i przywołujący refleksję. Opowiadanie to cechuje niezwykła, podobnie zresztą, jak w innych opowiadaniach tego tomu prostota konstrukcji, wyraziście zarysowany wątek dramatu i pięknie zróżnicowany opis bohaterów.

Analizując opowiadanie, po opowiadaniu łacno dojdziemy do wniosku, że książka stanowi niejako przegląd możliwości pisarskich Antoniego Kasprowicza. Znajdziemy tu bowiem nowelki, w których autor psychologizuje i to z dużym powodzeniem, jak w ślicznym i przejmującym zarazem „Romansie na przedmieściu". Ukazuje możliwości groteskowego rysowania sytuacji, jak choćby w „Kabacie od krzyża", czy „Złodziejach owoców", których zmysłowa strona przywodzi na pamięć przygody z dzieciństwa, odwołuje się do doświadczeń romansu sowizdrzalskiego, jak w „Alarmie", czy „Wirtuozie". Niekiedy chciałoby się namawiać autora do rozwinięcia niektórych opowiadań, może nawet w jakiś cykl powieściowy.

O jedno można mieć do Kasprowicza pretensję, o zakończenie świetnego zresztą opowiadania „Bolek Barnaba". Autor znakomicie narysował nam postać staczającego się na dno upadku chłopaka, który staje się szpiclem. I prezentuje nam trochę nieprawdopodobne rozwiązanie, zbyt groteskowe, choć może nie zamierzył on tu właśnie groteski?

W sumie otrzymaliśmy tom zwarty, jednolity, opowiadania dobrane tak, że komponuje się w znakomitą całość. Książka ta będzie się chyba liczyć w dorobku Antoniego Kasprowicza nie tylko jako znacząca pozycja, lecz także jako prezentacja ogromnych możliwości pisarskich tego autora także na gruncie prozy. Nie bez powodu daliśmy tej recenzji taki tytuł. Wszak z książki na książkę prezentuje się on nam jako prężny, a więc młody autor, tą dojrzałą młodością, która odkrywa przed nami ciągle jego nowe możliwości.

*) Antoni Kasprowicz: „DZIELNICA PLEBEJUSZÓW", Łódź 1971, Wyd. Łódzkie, str. 113, cena 10 zł.

Przeszłość i teraźniejszość

Himmler

Po książkach Allana Bullocka, Joachima Festa i paru innych nowa pozycja literatury przekładowej o dziejach III Rzeszy: praca spółki autorskiej Roger Manvell i Heinrich Fraenkel p.t. „Himmler", wydana nakładem Czytelnika (1971) w tłumaczeniu Tadeusza Wolskiego, z przedmową naszego wybitnego znawcy historii najnowszej Franciszka Ryszki. Tym razem bohaterem książki jest „najbardziej obok Hitlera obciążony zbrodniarz Trzeciej Rzeszy, jeśli przyjąć za podstawę ustalone w naszej cywilizacji pojęcia zbrodni". Autorzy starają się uniknąć uproszczeń, do jakich nieuchronnie prowadzi rozpatrywanie paladynów hitlerowskiego reżimu albo jako osobowości patologicznych w stosunku do uznanej za „normalną" niemieckiej tradycji, albo jako bandyckiej mafii bądź organizacji gangsterskiej, jak ich przedstawiał n.p. amerykański dziennikarz William L. Shirer. „Przywódcy naziztowscy nie mogą być wyrugowani ze społeczności ludzkiej tylko dlatego, że dzisiaj byłoby nam przyjemniej lub bardziej wygodnie rozpatrywać ich poza nawiasem ludzkości — powiada R. Manvell. — Tysiące mężczyzn i kobiet, które z nimi współpracowały, były w większości ich wielbicielami lub powolnymi im kompanami, wpływowi zaś Europejczycy i Amerykanie albo aktywnie ich popierający, albo tolerujący jako ponurą konieczność w polityce europejskiej, której w żadnym wypadku nie należało przeciwdziałać siłą, nie są znów tak dalecy od tych, którzy na ulicach witowali na cześć swych przywódców". Manvell i Fraenkel postawili sobie za zadanie przedstawienie postaci i działalności Heinricha Himmlera w szerszych uwarunkowaniach społecznych i politycznych, zebrali ogromną ilość niezmiernie interesującego materiału, zrelacjonowali go w sposób jasny, barwny, wprawnymi dziennikarskimi piórami.

Ale przecież ujęcie, zaprezentowane nam przez autorów, budzi poważne sprzeciwy. „Charakter reżimu i stan moralny społeczeństwa — powiada na wstępie R. Manvell — stanowiły bezpośrednie odzwierciedlenie charakteru ludzi, którzy go stworzyli". „Cierpienia narodu niemieckiego i następnie innych narodów — czytamy kilka wierszy dalej — były głównie rezultatem cech psychologicznych Hitlera i trzech ludzi, których życie usiłowaliśmy odtworzyć i zinterpretować". Przyznajmy, autorzy uczynili wiele, aby ukazać na kartach swej książki ów społeczny wpływ, jaki wywierał Himmler i inni przywódcy hitlerowscy i jest to na pewno ich zasługą. Ale ujęcie takie jest jednostronne, bowiem zajmując się oddziaływaniem „wielkiej jednostki" (wielki może być również określeniem pejoratywnym!) nie zastanawiali się nad tym, w jakiej mierze ona sama jest produktem społecznym, w jakiej mierze hitleryzm był wytworem konkretnego układu sił w konkretnym, rzeczywistym niemieckim społeczeństwie XX wieku. Ta strona medalu w książce R. Manvella i H. Fraenkla nie istnieje, co należy uznać za poważny niedostatek metody autorów. A może więcej niż metody, zapewne ich światopoglądu i przekonań osobistych...

Dlatego rację ma F. Ryszka, który w przedmowie zauważa, iż pomimo swych wstępnych zastrzeżeń autorzy omawianej książki skłaniają się mimo wszystko bądź to w stronę interpretacji „patologicznej", bądź „gangsterskiej". Nowsze badania historyczne zwracają baczną uwagę na drobnomieszczańską genealogię ruchu hitlerowskiego, a w pewnej mierze potwierdzałoby tę koncepcję to, co o Himmlerze mieli do powiedzenia R. Manvell i H. Fraenkel. „Wśród znacznej części drobnomieszczaństwa niemieckiego w epoce imperializmu — podkreśla F. Ryszka — panowało wyobrażenie o szczególnej wartości narodu niemieckiego, połączone z nietolerancją, kultem siły i brutalności, zaprawione swoistą mistyką, ulepioną z osadów różnych irracjonalnych ideologii, jakie zrodził wiek XX. Klęska wojenna Niemiec, chaos polityczny i pogarszająca się z dnia na dzień sytuacja ekonomiczna potęgowały jeszcze owe wyobrażenia, wzmagając nadto poczucie niepewności i zagrożenia. Stąd zrodziły się tęsknoty i nadzieje do silnego i bezwzględnego przywódcy, który zapewniłby dobrobyt i siłę swoiście pojmowanej „całości", nawet gdyby się to stać miało kosztem wolności pojedynczego człowieka. Jakże łatwo było stąd przejść do uczuć udramatyzowanej wrogości!"

Rozważając sprawę wpływu hitleryzmu na własne, częściowo zaś i na cudze społeczeństwa, autorzy pozostają w kręgu chronologicznym, jaki wyznaczyła historia III Rzeszy. Rzecz jednak w tym, że społeczne skutki hitleryzmu nie kończą się na procesach hitlerowskich zbrodniarzy, że te cechy mentalne, które system ów preferował, nie zniknęły z powierzchni ziemi wraz ze zniknięciem tego, co je stworzyło... Ale jest to problem znacznie wykraczający poza ramy, zakreślone sobie przez autorów książki o Himmlerze. Nie znaczy to jednak, by nie istniał. A omawiana książka, choć budzi zastrzeżenia, jest na pewno interesującym materiałem dla przemyśleń i dlatego na pewno zasługiwała na wydanie.

JÓZEF GRZELAK

MIECZYSŁAW WOŹNIAKOWSKI

Ze wspomnień szkolnych

FOT. MENDYCHOWSKI

Kiedy w listopadzie 1918 roku „wybuchła" Polska, Gienek Kowalski wymalował na blasze białego orła, którego zawiesiliśmy na bramie. Trzeciego Maja wzięliśmy udział w wielkim pochodzie przez miasto. Dzień był upalny, aż dziw o tej porze. Na tę pierwszą w wolnej już ojczyźnie manifestację wyległo całe chyba miasto: oprócz szkół szły więc cechy, załogi fabryczne, straż pożarna i Sokół, i towarzystwa śpiewacze... Wszyscy z chorągwiami, śpiewając po raz pierwszy od wielu lat pełnym głosem pieśni patriotyczne, przekazywane przez pokolenia. Tymczasem jednak wojna trwała, nędza i bezrobocie również. Pomimo pomocy Międzynarodowego Czerwonego Krzyża, pomimo amerykańskich darów (skondensowanego mleka i małpiego — jak ludzie mówili — smalcu, paczek z odzieżą i zabawkami) dzieci mrą z wycieńczenia, szaleje tyfus, gruźlica, świerzb i jaglica.

W szkole, pomimo ogłoszenia powszechnego obowiązku szkolnego, też nauka nie idzie jak by należało. Wprawdzie w roku szkolnym 1918/19 otwarto klasę czwartą, do której przyszły dzieci z sąsiednich szkół, gdzie edukacja kończyła się na klasie trzeciej, otrzymaliśmy nowe izby lekcyjne w oficynie, ale wkrótce nie tylko ojcowie, lecz i nauczyciele odchodzić zaczęli do wojska. Pierwszy poszedł nasz prefekt, ksiądz Skorupka. Pewnego dnia przyszedł do klasy w płaszczu wojskowym i w rogatywce z trzema gwiazdkami. Kapitańska czapka szła z rąk do rąk, niektórzy nawet zakładali ją na głowę. W rok później ksiądz Skorupka zginął pod Warszawą. W roku 1919/20 otwarto klasę piątą, ale kiedy w 1920 nasz wychowawca, pan Józef Kacer, poszedł na ochotnika na front, klasy szóstej nie otwarto i przeniesiono nas do szkoły nr 27 przy ulicy Staro-Zarzewskiej.

* * *

Nowa szkoła była właściwie bardzo podobna do poprzedniej. Warunki lokalowe miała może jeszcze gorsze. Zajmowała pierwsze i drugie piętro narożnej kamienicy. Na parterze również były sklepy, od ulicy Sosnowej — stała długa kamienica, za nią wąskie, brukowane podwórko, komórki, warsztat rzeźnicki i potworne z daleka cuchnące i pełne szczurów ogólne ustępy.

Oczywista, jak we wszystkich szkołach, brak jakichkolwiek pracowni, sali gimnastycznej, pomocy naukowych. Do szkoły szło się po kamiennych, mocno sfatygowanych schodach. Korytarze krótkie, wąskie i ciemne, na podwórzu ciągłe konflikty z lokatorami, a zwłaszcza z czeladnikami rzeźnickimi, stąd — pauzy spędzaliśmy w klasach. Okien też raczej nie otwieraliśmy: od ulicy Staro-Zarzewskiej wdzierał się turkot wozów z kołami na żelaznych obręczach, dzwonki i zgrzyt tramwaju. W okna wychodzące na podwórze walił dym od rzeźnika, od czasu do czasu po podwórku tłukły się pokrzykiwania domokrążnych handlarzy, lament żebraków, dźwięki katarynek.

Personel nauczycielski był dość zróżnicowany: kierownik szkoły, stary kawaler, z lekka zdziwaczały, nosił binokle, za którymi biegały niespokojnie, stale zaczerwienione oczy. Uczył nas śpiewu. Pomagał sobie grą na skrzypcach. Kiedy go pytaliśmy, dlaczego jego skrzypce mają tylko trzy struny, odpowiadał krótko: Na wasze chamskie gardła i trzech strun za dużo!

Niekiedy udawało nam się uprosić go, żeby coś zagrał „do słuchu". Wówczas nieodmiennie grał „Z dymem pożarów". Ale jak grał! Jak się wtedy odmieniał! Ręka chodziła mu wzdłuż szyjki „w pozycjach", drżała w kiści w łkającym tremolando. Kiedyśmy zachwyceni mówili: — Jak ślicznie, Panie Kierowniku, jeszcze, jemu oczy zachodziły łzami, chwytał w powietrzu binokle, ucinał smyczkiem nasze ochy i achy, po czym wyciągał z tylnej kieszeni ogromną, kraciastą chustkę i ucierał hałaśliwie nos. — Co, jak? Podobało się? No! A ja wam powiadam, że to było nic!

— Jak mówię, że nic, to nic! Paderewski, ten to gra! He! Paderewski! Rozumiecie? Słyszeliście kiedy Paderewskiego? Ech! Co wy tam! Paderewski to, panie, waszego kierownika tu by wsadził, o, do tej kieszonki!

Po takim przeżyciu trudno i nam i jemu było wracać do jedynej piosenki, której usiłował nas w ciągu całego roku wyuczyć. Był to „Marsz za Bug". Piosenka bodajże z Powstania Styczniowego. Popełnialiśmy ją w straszliwie wolnym tempie. W dodatku na dwa głosy. Chłopaczyska w okresie mutacji, do tego pozbawione, na ogół, słuchu, pobekiwały smętnie jak barany. Kiedy jakoś przy pomocy smyczka, którym nas ćwiczył po głowach, po karkach, gdzie popadło, udało mu się wbić z trudem melodię drugiego głosu, to jednak, gdy podejmował próbę złączenia obydwu głosów, wychodzi generalny klops. Dobrze jeszcze, kiedy głosy jakoś zlewały się w unisono, gorzej, gdy „drugi głos" nie pozwalał się dziewczętom przekrzyczeć i, zatykając uszy, jak tylko można było najdonośniej ryczeliśmy naszą melodię na bakier z jakąkolwiek tonacją.

Zrozpaczony kierownik tłukł z całej siły smykiem w „katedrę", przerywał nasze patriotyczne pienia spoglądał po nas rozjuszonym wzrokiem sponad binokli i z krzykiem: — „Potłuczone garnki, chamy! Świnie wam paść" — wypadał z klasy.

Pewną osobliwością był również nauczyciel języka polskiego w klasie szóstej. Jak wiadomo, po odzyskaniu niepodległości teren Kongresówki doświadczył istnego najazdu inteligencji z byłego zaboru austriackiego, ze „świętej Galilei", jak się to u nas mawiało. Onże polonista pochodził widocznie z Galicji Wschodniej, bo miał rozśmieszającą nas wymowę, poza tym był rudy, czesał się „na jeża", nosił krótko przystrzyżone wąsiki i chodził w jakiejś urzędowej czapce ze złotym sznurkiem. Kiedy zarządzał dyktando, klasa pokładała się ze śmiechu. Jeszcze dziś pamiętam jedno, na przykład, zdanie: „Hyże strusie hasają po pustyni" — dyktuje nauczyciel. Co w jego wymowie brzmiało mniej więcej: „Hieże stresi gasajo po pustyni". Zygmunt Sikorski, ospowaty knajak z Chojen, z niewinną miną pyta: — Proszę pana, co to znaczy „hieże stresie?".

— Ot, co. Dureń jeden. Ty nie bałakaj, ali pisz i słuchaj. Nu!

— A proszę pana, co to znaczy „gasajo"?

— Nu, ten znowu. Batiar zatracony! Do kąta i ręce w bok. Nu!

Wtedy w całej klasie to tu, to tam rozlega się „nukanie": nu, nu, nu... Nauczyciel wodził po klasie przekrwionymi oczyma, chcąc wykryć „przedrzeźniaczy". W końcu dawał za wygraną.

— A nukajcie, psiekrwie, nukajcie!

W klasie siódmej otrzymaliśmy dwoje młodych nauczycieli, zupełnie odbiegających sposobem bycia, stosunkiem do nas i stosowanymi metodami nauczania od tych, jakich znaliśmy dotąd. Była to urocza brunetka, w której podkochiwali się starsi chłopcy, panna Woźniakówna, nauczycielka języka polskiego i pan Szymski, który uczył nas języka francuskiego, fizyki i gimnastyki. Oboje ukończyli niedawno założone trzyletnie miejskie seminarium nauczycielskie: męskie i żeńskie. To już byli przedstawiciele nowej generacji nauczycielskiej. Kulturalni, zawsze do lekcji przygotowani, nie stosujący żadnych kar fizycznych, ba! nie podnoszący nawet głosu.

Byli przez nas ubóstwiani.

W szczególnie wdzięcznej pamięci zachowuję pana Ignacego Szymskiego.

Sam operując niewielkim zasobem słów i zwrotów francuskich, starał się przecież mówić do nas w tym języku. Tak, jak bym jeszcze słyszał powtarzane często przez niego zdania: „Silence, ne cosez pas!" Albo: „Cachez touts les livres!". Lekcję gimnastyki prowadził (pożal się Boże!) w naszej maleńkiej, zagraconej ławkami klasie. Ale skoro tylko zrobiło się cieplej, wiódł nas na koniec ulicy Sosnowej i tu, na nędznej, przyfabrycznej murawie uczył różnych gier. Pierwszy raz chojeńskie i zarzewskie dzikusy, nauczyliśmy się kulturalnych zabaw, w których obowiązywały jakieś reguły: trzeciak, berek, czarodziej, dwa ognie, przerywane wojsko. Mało! Z chętnymi pan Szymski umawiał się po południu na boisku szkolnym swojego seminarium nauczycielskiego przy ulicy Czerwonej. Od czasu do czasu prowadzał nas do niedawno urządzonej przez Magistrat m. Łodzi pracowni fizycznej przy ul. Olgińskiej, przemianowanej na ulicę Piramowicza. W zaciemnionej sali atmosfera, jak by dokonać się miało misterium. Na stołach ustawiamy ścianki tekturowe z otworkami pośrodku, a przed nimi zapaloną świecę. Tak oto doświadczalnie przekonujemy się o prostolinijnym rozchodzeniu się światła.

Przed otrzymaniem świadectw ukończenia szkoły odwiedziliśmy całą klasą pracownię psychologiczną. Tam po różnorakich badaniach testowych prowadzono z nami rozmowy na temat wyboru zawodu, względnie dalszego kierunku nauki. Ocsłaniano przed nami pewne perspektywy, budzono nadzieje i aspiracje, ale my musieliśmy pamiętać o nędzy w naszych domach, gdzie rodzice czekali z upragnieniem, kiedy pomożemy im w trudzie utrzymania i wyżywienia licznych rodzin. Już i tak uczyliśmy się dłużej niż jakiekolwiek pokolenie przed nami. Siedem lat! Nie wiedzieliśmy wówczas, że byliśmy nie tylko pierwszym rocznikiem w Łodzi, który ukończył siedmioklasową publiczną szkołę powszechną po wprowadzeniu obowiązku szkolnego, ale również pierwszym w całym kraju.

Pod koniec roku wizytował szkołę inspektor szkolny — autentyczny książę Ogiński. Był u nas na lekcji fizyki. Zadowolony z wyników tym bardziej, że podręcznik (bodaj że Heilperna) był, jego zdaniem, za trudny, zaciągając z lwowska powiedział, uśmiechając się do nas:

— Ta przecież wy niezadługo pokończycie szkoły, będziecie uczonymi i wtedy napiszecie lepsze książki.

Staliśmy zażenowani, zmieszani. Kpi, czy o drogę pyta? My — książki pisać?

— Ta co tak gapicie się? A wy! Właśnie, że wy. Taż nie święci garnki lepią, ale ludzie. No, do widzenia, dzieci. I — powodzenia!

Wręczenie pierwszych świadectw ukończenia Siedmioklasowej Publicznej Szkoły Powszechnej nr 27 nie odbyło się w sposób uroczysty. Nie mieliśmy żadnej sali, szkoła — żadnych tradycji...

Była tylko nasza wychowawczyni, pan Szymski, prefekt, ksiądz Urbański. Pan kierownik chciał, zdaje się, palnąć jakąś mówkę, ale chwycił go z nagła kaszel, sięgnął po chustkę, w ostatniej chwili złapał w powietrzu lecące binokle.

Świadectwa wręczyła nam pani Woźniakówna. Chwilę staliśmy stłoczeni, nie wiedząc, co by tu dalej. Aż Stasiek Kubicki, z Szosy Pabianickiej, zaintonował piosenkę wkuwaną przez pana kierownika w klasie siódmej: — Upływa szybko życie, jak potok płynie czas...

Wszyscy podchwycili. I to na dwa głosy!

Poszło, udało się. Pierwszy raz!

Pan kierownik zaczął mrugać i szybko, z przekrwionych oczu zaczęły kapać łzy.

Tak to w pierwszym roku swojej nauczycielskiej pracy żegnali pierwszych absolwentów.

Wyszliśmy z bramy, ociągając się.

Podaliśmy sobie ręce, co nie było u nas w zwyczaju. Zarzewiacy skręcili w lewo, ku Widzewskiej, a my, chojniacy, poszliśmy prosto Suwalską, przez pola...

Dziewięćdziesięcioletnia epoka

W co trzecim z wypowiadanych przez Picassa zdań mowa jest o pracy, a nie o sztuce, nie o malarstwie. Niedługo przed dniem urodzin powiedział do mnie, śmiejąc się: — Rodzice powinni bić dzieci, które zaczynają bazgrać na ścianach, bo inaczej może się zdarzyć, że już nigdy nie przestaną.

Praca stanowi dla niego nieustającą pokusę bez określonego celu i bez różnicowania między mistrzowskim dziełem, a pobieżnym szkicem: — Nawet dzisiaj jeszcze nie wiem — powiedział mi — dokąd mnie moja praca prowadzi. Zaczynam w kącie arkusza i powstaje mały piesek lub cokolwiek, i tak skacze praca z arkusza na arkusz, z płótna na płótno.

Pokój, w którym Picasso popołudniu, po sjeście przebywa, jest tak samo zatłoczony, jak podczas mojej ostatniej wizyty, tylko, że ogrom rzeczy wydaje się być inaczej uformowany, jak gdyby te góry zostały przez trzęsienie ziemi na nowe ukształtowane. Oto i biała gołębica w klatce. Przejście do przylegającego pokoju, do którego Picasso zawsze znosi rzeczy o szczególnym dla niego znaczeniu, jest tym razem zabarykadowane. Na grzywach fal tej powodzi rzeczy płynie znów wczesny, nocno-niebieski widok dachów Barcelony i płótno Matisse'a.

Ledwie widoczne, wszystkie zakryte przez wszystko. Niezliczone tysiące rysunków leżą nieuporządkowane w teczkach. Ongiś w tych pomieszczeniach Picasso malował. Teraz już nie ma tu miejsca. — Nie mam nawet pracowni — mówi Picasso. — Będę musiał sobie wybudować.

Znam te żale. Nową pracownię wypchałby tak szybko, jak poprzednie, które szczelnie zatłoczył i zamknął na cztery spusty.

Chodzimy po domu. Nagle drażni Picassa biały, wąski korytarz, stanowiący przejście. Przerażony sekretarz słyszy: — Tu trzeba by postawić regały, bym miał miejsce dla moich książek!. — Wchodzimy do małego, schludnego pomieszczenia, gabinetu sekretarza. Picasso chciałby zawładnąć również tymi kilkoma metrami kwadratowymi, tak prowokuje go panujący tu porządek. Zaczyna szperać na biurku, znajduje mały sztyfcik oranżowego koloru, bierze go i pokazuje mi. — Co za ładne, praktyczne rzeczy teraz wyrabiają — powiada i chowa ołóweczek do kieszeni.

Dopóki popołudnia są jeszcze ciepłe, Picasso maluje na pierwszym piętrze, na obszernym, tonącym w kwiatach balkonie, skąd roztacza się widok daleko na wybrzeże. Obok balkonu — maluczki pokoik jego żony Jacqueline. Wanna w przyległej łazience służyła już bardzo często za warsztat dla wykonania próbnych odbitek grafiki. Na dole, w odległości kilkuset metrów od morza, w kierunku Cannes, przebiega autostrada. Picasso lubi widok wahadłowej gry na szosie. — W Bazylei — opowiada — przyglądałem się tramwajom z pokoju hotelowego. Stałem przy oknie aż do końca nocnego ruchu. Powiedziano mi, że zacznie się znów — wczesnym rankiem, więc nie kładłem się do łóżka, przeczekałem tych kilka godzin.

Brama do posiadłości Picassa w Mougins otwiera się coraz to rzadziej — od czasu do czasu dla samego Picassa, kiedy wybiera się on do dentysty w Cannes lub na wycieczkę, jeszcze rzadziej się zdarza, by wyruszył na lotnisko po przyjaciela. Przed kilkoma miesiącami dojazd do domu Picassa został przerwany przez przedsiębiorcę, budującego w pobliżu domy. Picasso opowiada o tym dziś, kiedy wszystko już dawno jest w porządku, ciągle jeszcze z wielkim oburzeniem. — Nie widział pan, co tu narobili! Zaraz pokażę, mam fotografie z tego... Szuka ich, ale nie znajduje. Najbardziej oburza go argument, którym posłużyła się strona przeciwna: „On przecież i tak już nie wychodzi z domu!" — A przecież to nie prawda — mówi. — Oprócz tego przychodzą przyjaciele do mnie! A świadomość, że znajduję się w zamknięciu,

ANDRZEJ GRUN

Gobeliny i przedmioty

Kilka lat temu sztuka polska plakatem szeroko w świecie słynęła — dziś można śmiało powiedzieć, że słynie Romanem Cieślewiczem (tym z Paryża) i tkaniną artystyczną. Rzeczywiście, ta dyscyplina sztuki obrodziła w talenty wyjątkowe, różnorodne, na wskroś oryginalne. Talenty śmiałe i pełne twórczej inwencji, łączące szczęśliwie i odważnie nowoczesność z tradycją. W talenty na tyle oryginalne i różnorodne, że co przedniejsi krytycy zagraniczni nie używają określenia „polska szkoła tkaniny" (jakie to szczęście!), a mówią, po prostu: polska tkanina artystyczna. Oby mówili tak jak najdłużej, bowiem pochlebniejszej recenzji sztuce wystawić nie sposób.

Jakież przyczyny takiego urodzaju? Historia polskiej współczesnej tkaniny unikatowej jest bogata, sięga lat 20-tych i 30-tych. Wykształciła się wtedy kadra artystów-pedagogów, którzy mogli się poszczycić nie tylko licznymi realizacjami opartymi przede wszystkim o wzory ludowe, ale także równie owocnymi wynikami w dziedzinie kształcenia adeptów tej trudnej, lecz jakże pięknej i szlachetnej dziedziny sztuki. W latach powojennych mury szkół artystycznych w Warszawie, Gdańsku i Łodzi opuściła cała plejada twórców, których nazwiska świadczą dziś o kulturze polskiej szeroko w świecie. Do rozwoju tkaniny przyczyniła się również działalność, wciąż jeszcze za mało docenianego i za mało spopularyzowanego łódzkiego Muzeum Historii Włókiennictwa (jest dla mnie na przykład sprawą dziwną, dlaczego do tej pory nie został opracowany i wydany drukiem album zbiorów tegoż Muzeum? Że mogłaby to być pozycja wyjątkowa i cenna dla miasta Łodzi i tkaniny polskiej, nie potrzebuję chyba nikogo przekonywać). Także zainteresowanie odbiorcy, zwłaszcza na Zachodzie tkaniną unikatową jako pewnego rodzaju antidotum na obojętną nowoczesność i seryjność otoczenia, a też i wielkie pokazy międzynarodowe w rodzaju lozańskiego Triennale były bodźcami dopingującymi dla parających się tym gatunkiem sztuki. Jest natomiast sprawą przykrą (jeśli nie użyć tu innego określenia), że wiele pięknych tkanin, wykonanych rękami polskich artystów na zawsze powędrowało za granicę. Muzeum Historii Włókiennictwa nie jest w stanie i zresztą nie ma powodu kupować wszystkich interesujących prac, jakie powstają aktualnie w pracowniach. Przeciętny odbiorca zdobyć się nie może na zakup gobelinu (chyba że bardzo małego), bo jest to rzecz kosztowna. Zostaje więc problem otwarty: kto ma kupować u nas tkaninę artystyczną, skoro Ministerstwo Kultury i Sztuki jest już nią obwieszone, a wydziały kultury wolą obrazy (bo dobrze im w piwnicach) i dywany (do pokojów biurowych, bo to tak kulturalnie wygląda).

A zainteresowanie tkactwem unikatowym jest u nas duże. Świadczyć o tym może aktualna wystawa gobelinów Ludmiły Szymańskiej-Pietrzak w Salonie Sztuki na Piotrkowskiej, odwiedzana tłumnie przez mieszkańców miasta. Wystawa tym bardziej interesująca, iż połączona z ekspozycją świeczników, rzeźb, kompozycji w metalu Stanisława Cuchry-Cukrowskiego, łódzkiego plastyka, którego podstawowym kierunkiem działania jest architektura wnętrz i który ma w tej dziedzinie wiele poważnych i celnych realizacji (w tym kilka wnętrz muzealnych).

Gobeliny Szymańskiej-Pietrzak są tkaninami wielkiej urody. Szlachetne w kolorze, udramatyzowane nieoczekiwanymi spiętrzeniami faktur, kontrastem splotów, zderzeniami różnych materiałów, gobeliny te świadczą jednocześnie o dużej kulturze plastycznej, bogatej inwencji i pełnej wyobraźni autorki. Miast krzyczącej ekspresji jest w nich ukryta siła i intymność jednocześnie tkaninie przecież nieodzowna. Mimo kameralnego charakteru, mimo nastroju poezji, jaki z nich emanuje, gobeliny Szymańskiej-Pietrzak posiadają w sobie pierwiastki tkaniny monumentalnej, co pozwala im czuć się dobrze we wnętrzu wystawowym i co, jak przypuszczam, pozwoliłoby im wytrzymać zderzenie z każdą przestrzenią architektoniczną. Jednocześnie ich druga natura, ta poetycka właśnie, predestynuje je do przebywania w zwykłym, mieszkalnym wnętrzu, do obcowania na co dzień z jego użytkownikami. Sprzyja temu również tematyka tych gobelinów — formy kobiecych postaci, wyłaniające się ze splotów i faktur. Postaci jakby zatrzymanych w tanecznym ruchu, nakładających się na siebie, przenikających. Przez te smukłe, jakby modiglianowskie i gotyckie zarazem sylwetki sączy się spokój i miękkość i ciepło materii, z której zrodziły się pod cierpliwymi palcami artystyki.

Ludmiła Szymańska-Pietrzak. Gobelin — „DRZEWO"

Są gobeliny Szymańskiej ponadto wymarzonym tłem dla Przedmiotów, bo tak nazwał swoje świeczniki i rzeźby w metalu, ozdobione grudkami złocistego jantaru Stanisław Cuchra-Cukrowski, świeczniki toczone z brzozy, dębiny, jesionu, rzeźby z miedzi, kompozycje z wytłaczanej, miedzianej blachy. Gobeliny Szymańskiej i Przedmioty Cukrowskiego w połączeniu stanowią nie tylko ciekawą wystawę plastycznych realizacji. Są czymś więcej. Są konkretną propozycją skierowaną w stronę odbiorcy, który na co dzień ulega coraz powszechniejszemu zalewowi przedmiotów i form seryjnych, przemysłowych, powielanych w setkach tysięcy egzemplarzy. Tych dwoje plastyków proponuje dzieła sztuki użytkowej, na których pozostał niezatarty ślad ich dłoni. Dzieła oryginalne, które przecież mają szanse znaleźć się w mieszkaniach, nadając im charakteru indywidualnego, upiększając je, oddziaływając swą estetyką na obcujących z nimi ludzi. Twórczość Szymańskiej i Cukrowskiego nie ma, podkreślam to, nic wspólnego z wyrobami cepeliowskimi. Jest twórczością ich własną, nie powielaną, nie kompilowaną ze wzorów ludowych, ani żadnych innych. Gobeliny i przemioty są wyrazem własnych przemyśleń ich twórców nad formą i funkcją. I to jest ważne.

Człowiek dzisiejszy, zamieszkały w osiedlach, w znormalizowanych metrażach, pośród mebli i sprzętów seryjnych, odczuwa coraz większą potrzebę obcowania z przedmiotami wykonanymi ludzką ręką i prostym narzędziem, a nie za sprawą maszyny.

WYNIKI KONKURSU

NA OBRAZ, TKANINĘ I RZEŹBĘ

Został rozstrzygnięty konkurs otwarty łódzkiego okręgu Związku Polskich Artystów Plastyków na obraz sztalugowy, tkaninę i rzeźbę.

Za obraz sztalugowy pierwszą nagrodę otrzymał **Andrzej Bartczak.**

Dwie drugie nagrody przypadły w udziale **Wiesławowi Garbolińskiemu i Jerzemu Kudukisowi.**

Trzy trzecie nagrody otrzymali: **Ewa Tyc, Jan Łukasik i Benon Liberski.**

Wyróżnienia otrzymali: Jerzy Tadeusz Mróz, Ryszard Hunger, Andrzej Bartczak, Adam Kuśnierz, Romana Hałat, Leokadia Bartoszko-Kałużewska, Józef Skrobiński, Janina Musiałczyk, Henryk Strumiłło.

W dziale tkaniny i rzeźby nagród nie przyznano z powodu niedostatecznej ilości nadesłanych prac.

Dzieci z marginesu

Dalszy ciąg ze str. 4

cją. Część wymienionych wyżej wniosków wiąże się z niektórymi artykułami projektu, zwłaszcza w części proponującej obowiązki dla powoływanej nowej instytucji przy radach narodowych: komisji do spraw opieki wychowawczej — Komisja ustala przede wszystkim przyczyny występujących trudności wychowawczych, badając sytuację życiową nieletniego, jego osobowość, a w miarę potrzeby również stan zdrowia. (Należałoby sprecyzować wyraźnie, że chodzi przede wszystkim o stan zdrowia psychicznego).

Zespół przeprowadzający badania stwierdza konieczność lepszego uświadomienia społeczeństwa co do mechanizmów rodzenia się przestępczości nieletnich. Powstaje pytanie — jakimi metodami? I kogo przede wszystkim? O ile oddziaływanie na rodziny spełniające swe funkcje wychowawcze może być skuteczne, o tyle dotarcie do rodzin oddziaływających negatywnie wychowawczo na dzieci — jest niemożliwe. Nie ze względu na ich miejsce zamieszkiwania, lecz ze względu na niski poziom intelektualny, degradację psychiczną (np. alkoholizm), półanalfabetyzm itp. Jest to krąg nizin moralnych i żadne działanie wychowawczo - instruktażowo-uświadamiające nie da skutku. Jedyna forma ratunku dla dzieci z tego kręgu (bardzo duży krąg!) to zabieranie ich stamtąd do placówek wychowawczych lub wychowawczo-leczniczych i obarczanie opiekunów kosztami utrzymania dzieci. Projekt ustawy to przewiduje, ale jednocześnie pozostawia furtkę: „...obciążyć rodziców lub inne osoby, zobowiązane do alimentacji nieletniego, chyba, że ze względu na okoliczności sprawy celowe jest odstąpienie od obciążenia kosztami w całości lub w części".

Takich względów mamy bardzo dużo. Np. rodziny alkoholików. Ośrodek Opiekunów Społecznych na Bałutach boryka się w tej chwili m. in. z rodzicami dziesięciorga dzieci. Rodzice alkoholicy będą pozbawieni władzy rodzicielskiej. Dzieci pójdą do domów opiekuńczych. Kto zapłaci? Rodzice pracują (jeśli im się to zdarzy) na wódkę. Jak ich zmusić do płacenia na dzieci? Przymusu nie ma. Posadzić do więzienia? Należałoby — i w ramach wyroku sądu zalecić obowiązek pracy na utrzymanie dzieci. W setkach przykładów z samej Łodzi trzeba by stosować takie sankcje. W dziesiątkach melin widziałam małe dzieci od niemowlęctwa zagrożone demoralizacją. One przychodzą na świat już z defektami psychicznymi. W zaklętym kręgu nizin moralnych rodzi się dzieci bardzo dużo. Jak przerwać ten krąg? Ustawa o zwalczaniu pasożytnictwa rodzi się bardzo długo. Powinna się ona narodzić wraz z ustawą o ochronie młodzieży przed demoralizacją, a obydwie winny stanowić logiczną, wzajemnie uzupełniającą się — całość.

Czas płynie. Dzieci się rodzą i rosną w niezmiennych warunkach. Dlatego mówię o nie najlepszych prognozach na najbliższą przyszłość w zakresie walki z przestępczością nieletnich. Wszystkie postulaty wiążą się z inwestycjami, z przygotowaniem kadr specjalistycznych. Jeżeli w szybkim czasie potrafimy uporać się z tymi potrzebami „szerokiego frontu działania", o którym mówi zespół specjalistów jako o warunku radykalnego sposobu zapobiegania przestępczości — można liczyć na rozwiązanie problemu w optymistycznym nastroju. I chyba trzeba będzie pomyśleć o wydatkach na ten cel, żeby zatamować potok strat, jakie ponosimy tak w moralnym, jak i materialnym zakresie w konsekwencji demoralizacji i przestępczości nieletnich. A ilość ich podwoiła się w ciągu dziesięciu lat...

ZOFIA TARNOWSKA

jest nie do wytrzymania!

W tych dniach brama jest dla gości zamknięta — dziesięć dni przed dziewięćdziesięcioleciem urodzin, dziesięć dni przed 25 października. Jak co roku, również i tym razem Picasso znikł, nawet dla najbliższych przyjaciół, udając się w fikcyjną podróż. Telefon dzwoni, ale nikt nie podnosi słuchawki. Picasso ignoruje dzień swoich urodzin, jedyny sygnał starości, z rytualną wytrwałością. Ostatnio w Mougins powiedział mi, z lekka ubawiony, lecz z intencją zaklęcia: — Przygotowują obchody setnej rocznicy moich urodzin... Wygląda, że sam Picasso chce pozostać do dyspozycji. Również stary Goya, który swoje ostatnie lata przeżył w Bordeaux, mówiąc o kresie życia, wskazywał na najsłynniejsza w historii sztuki granicę wieku, na dziewięćdziesiąt dziewięć lat Tycjana.

— Wszyscy interesują się moimi urodzinami — powiedział — tylko nie ja. Wczoraj otrzymałem list od pewnego ministra. Ale dlaczego mam z powodu urodzin przyjąć jakiegoś ministra? Mam swoją pracę, której nikt za mnie nie zrobi...

Mimo wszystko Picasso nie stracił kontaktu ze światem. W rozmowie wspomina o przyjaciołach, polityce, wydarzeniach społecznych i o rozmaitych aktualnych sprawach poruszanych w prasie.

— Widział pan w telewizji film o surrealizmie, o Bretonie i Maksie Ernst? To było dobre.

Poza tym oburza się na telewizję. Ogłupia, powiada. Jednak chętnie słucha wiadomości, śledzi w telewizji polityczne wydarzenia. Oczywiście, ogląda zawody zapaśnicze, jego domowe corridy i gniewa się, gdy zapominano mu powiedzieć, że będzie pokazany taki mecz. Zawody zapaśnicze są dla niego poważną sprawą. Przypominają mu świat lunaparkowy, gdzie znalazł swoje pierwsze tematy.

Picasso rozpoczyna studium otaczającego go świata rano, w łóżku. Czyta gazety, francuskie, hiszpańskie, przegląda pocztę, która listonosz całymi stosami przytaszcza, kartkuje w katalogach i albumach. Od dawna już nie odpowiada na listy i to bez wyjątków. Pierwszeństwo w lekturze ma poezja, przede wszystkim dzieła jego przyjaciół, Apollinaire'a, Jacoba i Eluarda, których często cytuje. Niekiedy śpiewa piosenkę z tekstem Apollinaire'a lub Jacoba, nuci kilka taktów z „Pietruszki" wspominając czasy z Diagilewem i Strawińskim. Ciągle wraca do Apollinaire'a. — Przypomina zan sobie „Le poète assassine"?...

Picasso nie utrzymuje w rozmowie żadnego dystansu, nie wpada w ironię, ale zawsze opanowuje go pasja, jak we wszystkim, co czyni. Nie ma głupszego powiedzenia, niż to, które w pięćdziesiątych latach Giovanni Papini w trakcie wyimaginowanego wywiadu powiedział — o cynicznym intelektualnym clownie. Mało co oburzyło Picassa w takim stopniu, jak ta charakterystyka.

Gestykulacja Picassa jest tak wyrazista, tak zgodna z tym, co mówi, że może właśnie z tego powodu wszystkie drukowane rozmowy z nim, zestawienie niczym nie przerwanych zdań, robią wrażenie syntezy. Tymczasem w rozmowie Picassa przeważają aforystyczne wypowiedzi, skoki myślowe, zawsze optycznie podkreślone. Niezliczone rzeczy wokół niego, papiery czy fotosy, służą mu niby maski i rekwizyty, do uwydatnienia tego, co mówi.

Pokazanie czegoś zastępuje czasem powiedzenie o czymś. — Tym, którzy o mnie piszą, brakuje słów wynalezionych przeze mnie pędzlem.

Odnosi się wrażenie, że tysiące rzeczy przez niego stworzonych i wszędzie wokół sterczących, stanowią jego zmaterializowaną mowę, że są elementami słownika picassowskiego, słowami przeobrażonymi w rzeczy, namacalnymi składnikami jego mowy. Jego palce dotykają leżących wokół przedmiotów, szukają ich oporu, możliwości ich zmian. Aluminiowe kapsle od butelek z mineralną wodą, otwierane podczas posiłku, stają się w jego rękach w mgnieniu oka maluczkimi figurkami, współuczestnikami rozmowy.

Dla Picassa wszystko jest ważne i dlatego zbiera on namiętnie wszelakie dzieła, różne przedmioty i tysiące podarków i pamiątek z całego świata. Całe jego życie jest w tym obecne, w odzieży, papierach, upominkach. Te zapakowane w skrzyniach wspomnienia zapełniają kilka domów. Swoje rzeźby zachował dla siebie, z małymi wyjątkami. Kiedy przyniosłem mu katalog tych rzeźb, opracowany przy jego pomocy, studiuje go długo, z powagą i jest zaskoczony. — Odnosi się wrażenie — mówi — że odkryło się nieznaną cywilizację...

(Opr. na podstawie „FAZ" wg. artykułu Wernera Spiessa, długoletniego przyjaciela Pabla Picassa. — Le-Be).

Nie wiem, czy uwierzycie...

JA BAJKI TAK LUBIĘ OGROMNIE...

„Nie wiem czy uwierzycie, nie wiem, ale opowiem. Był sobie lisek-marzyciel, co mieszkał w Starej Dąbrowie..." Lisek był marzycielem-kosmonautą, chciał zdobyć księżyc, ale skutek był taki, że on nie zdobył księżyca, natomiast księżyc zdobył jego czapę. Zresztą, ja nie mam zamiaru opowiadać bajek, jeśli ktoś chce, niech sobie posłucha przez telefon. Pod numerem 284-80 łódzki Urząd Telefonów Miejscowych nadaje je od dawna ku uciesze dzieci. Słusznie jednak UTM doszedł do wniosku, że należy się coś i dorosłym. Rozesłał więc swym abonentom miłe zawiadomienie, że od 18 października będzie nadawał (dla rozrywki) w godzinach wieczorno-nocnych, czyli od 20 do 8 rano horoskopy odtwarzane z Panoramy „Dziennika Łódzkiego", czyli rano — bajki dla dzieci, wieczorem — dla dorosłych. Jest w tym pewna idea, bo „Dziennik" z niedzieli można zgubić w poniedziałek i w środę już człowiek nie pamięta, co go czeka dalej. A tak nakręci i już wie. Na przykład: w środę będziesz świadkiem ważnego wydarzenia, wyciągnij z niego wnioski. Albo: w piątek poznasz osobę, która może mieć poważny wpływ na twoje dalsze życie. A jakby się zapomniało, to można tę osobę lub to wydarzenie pominąć i skutki nieodwracalne na całe życie.

Jednak mnie osobiście ten pomysł się nie podoba, ze względów merytorycznych. Otóż wróżba z Panoramy nigdy mi się nie sprawdza. Więc proponuję, by UTM zszedł z linii najmniejszego oporu i poszukał innego horoskopu (można nabyć w każdym kraju zachodnioeuropejskim) i zrobił Panoramie konkurencję. Albo zaczął nadawać w godzinach wieczornych bajki dla dorosłych.

Chociaż wcale jest to niepotrzebne. Bajek dostarczają nam co dzień gratisowo i bez zamówienia przeróżne instytucje, na pozór wcale do tego nie powołane.

Na przykład instytucja tak szacowna, jak PKO. Ogłosiła, że już można finansować obligacje Narodowej Pożyczki Rozwoju Sił Polski, bo minęło przepisowe 20 lat od jej rozpisania. Więc ludziska walą do PKO, by swoje pozostałości odebrać. Bajecznie to prosta historia. Jedyne (czasem dwa) okienko dla prawie 800-tysięcznego miasta. Kolejka składa się z minimum 50 osób, każda ma w garści pakiet obligacji (sama posiadam siedem po 10, pięć po 50, jedną za 200 zł). Kto niezorientowany, ten po godzinie stania w kolejce dowie się, że musi znać numery tabel, na których umieszczone są numery jego obligacji. A tabel przez 20 lat uzbierało się 40. Około dwóch kompletów (za złożeniem w kaucję dowodu osobistego) można wypożyczyć do przeglądu.

Jeśli ktoś jest pewien, że z poprzednich ciągnień nic mu nie zostało, to tabela z ostatniego losowania rozwieszona jest w hallu wejściowym. Tabela ta jest oblepiona ludźmi, którzy wytężają wzrok, żeby cośkolwiek dojrzeć, a zapisując to na kartkach, gubią różne przedmioty trzymane w rękach. Poszukiwania na tablicach trwają około pół godziny. Potem dalszy postój w kolejce do okienka, znów około godziny.

Jestem przekonana, że PKO nie zna innego, prostszego sposobu na wypłacenie ludziom ich pieniędzy. Jestem też przekonana, że byłoby tych sposobów wiele, gdyby zamiast odbierać, ludzie chcieli pieniądze wpłacać.

Z bajecznych historii znany jest również nasz kochany PKS, niezawodny stały dostarczyciel tematów dla prasy. Oto jeszcze jeden. Wybudowano śliczny Dworzec Północny przy ul. Smugowej. Mieszkam naprzeciw tego dworca, ale korzyści mam z tego niewielkie. Bo dokądkolwiek chcę jechać, zawsze okazuje się, że muszę się udać na Dworzec Fabryczny, bo mój autobus stamtąd odchodzi. Korzyść mam tylko jedną: dokładną informację. Pasażerowie, korzystający z tego dworca, skarżą się, że informacje podawane przez megafony są zupełnie niezrozumiałe. A ja, w moim mieszkaniu, bez wstawania z łóżka, od piątej rano słyszę dokładnie, dokąd odchodzi który autobus i o ile jest spóźniony. Megafony ryczą na całą dzielnicę, głos bije w niebo i w domy, budząc ze snu Bogu ducha winnych mieszkańców. A pasażerowie nie słyszą. Nawet kompletny dyletant wie, że cała rzecz polega na wadliwym ustawieniu instalacji, skutkiem czego głos idzie nie tam, gdzie trzeba. Tylko PKS nie wie i stara się nadrobić braki coraz silniejszym nagłaśnianiem, które jest przekleństwem całej dzielnicy.

Wyrwana przedwcześnie ze snu, biorę gazetę i oto dowiaduję się, że można zgłaszać kandydatów do nagród miasta Łodzi. Mam swoich kandydatów, chcę ich zgłosić. Na przykład doc. Annę Rynkowską za jej unikatową książkę o Łodzi pt. „Ulica Piotrkowska", za jej wieloletnią, żmudną pracę nad historią Łodzi, nad gromadzeniem i publikowaniem dokumentów, stanowiących bezcenny przyczynek do dziejów naszego miasta.

Czytam więc komunikat Prezydium RN dalej i oto dowiaduję się, że, aby zgłosić kandydata do nagrody miasta, trzeba załączyć:

Imię i nazwisko kandydata,

miejsce i datę jego urodzenia,

wykształcenie,

stopień i tytuł naukowy,

adres prywatny,

adres i nazwę zakładu pracy oraz zajmowane stanowisko,

określenie przynależności do organizacji politycznej,

wykaz posiadanych odznaczeń państwowych oraz innych,

wymienienie sprawowanych z wyboru funkcji w organizacjach politycznych, społecznych, zawodowych, naukowych,

życiorys,

ogólną charakterystykę całokształtu twórczości i działalności naukowej, technicznej, literackiej, artystycznej i społecznej kandydata do nagrody oraz

dokumentację wyjaśniającą istotę pracy i uzasadniającą jej doniosłość.

Do dokumentacji należy dołączyć wykaz publikacji lub innych prac naukowych kandydata.

Doprawdy, tylko tyle? A gdzie świadectwo, że kandydat nie był karany sądownie? Że nie ma nieślubnych dzieci, lub że nie zalega z alimentami? Że płaci podatek za psa? Że w terminie miał szczepioną ospę i że nie jest nosicielem duru brzusznego?

Jeszcze jest czas, można uzupełnić.

TERESA WOJCIECHOWSKA

W następnym numerze „ODGŁOSÓW":

- **B. MADEJ — Bez telewizyjnej kamery**
- **K. TUROWSKI — Na pętli świat się kończy**
- **A. HAMPEL — Teatr walczący**

oraz recenzje, felietony, nowela kryminalna.

TELEOBIEKTYW

PODYSKUTUJMY

O telewizji pisze się u nas dużo. Rzadko jednak podejmuje się próby jakiejś oceny całościowej programu. A sprawa jest ważna, gdyż na przestrzeni ostatnich lat program TV stał się najszerszym odcinkiem styku obywatela z potokiem informacji oraz z produkcją artystyczną i kulturową.

Często porusza się sprawę telewizji z punktu widzenia obrony innych form aktywności kulturalnej. Mówi się o zagrożeniu kina, teatru, o wyższości obcowania z książką, a nawet z radiem nad biernym chłonięciem programu TV. Wszystko to podyktowane jest troską o bardziej równomierne korzystanie z wszystkich możliwości kontaktu z działalnością kulturalną.

Jedno jest jednak pewne: telewizja weszła w tak trwały sposób w skład naszego modelu kulturowego, że wszelkie próby negowania jej roli, lub okazywania jej lekceważenia są żałośnie anachroniczne. Tym bardziej więc należałoby dyskutować o profilu programowym telewizji, nie dopuszczać do jej kostnienia w pewnych sztampach, ani do traktowania przez redakcje TV jednych form programowych rzetelnie, a innych niedbale.

W numerze 45 tygodnika „Film" zamieszczono dyskusję młodych reżyserów filmu fabularnego na temat aktualnej sytuacji kina i związanych z nią prognoz i postulatów. Nie obeszło się, oczywiście, bez dotknięcia spraw telewizji. Jeden z uczestników rozmowy redakcyjnej, Edward Żebrowski, powiedział:

„Jeśli widz telewizyjny oglądałby wyłącznie programy, wymagające od niego jedynie postawy świadka, pozbawiono by go przeżyć dających się ocenić w kategoriach moralnych. Tylko program o wartościach artystycznych, zmuszający widza do wewnętrznego udziału w tym co ogląda, może mu przynieść pełne przeżycie artystyczno-moralne".

Nad sformułowaniem tym warto by się zastanowić w odniesieniu do aktualnie realizowanego programu. Wydaje się, że w naszej telewizji zarysowuje się znaczna dysproporcja w podejściu do programów artystycznych, głównie teatru TV z jednej strony, i do programów publicystyczno-informacyjnych — z drugiej. Pierwsze z nich zyskują na ogół staranną oprawę i realizowane są w pełnym poczuciu odpowiedzialności za ostateczny efekt programowy. W programach publicystycznych i informacyjnych realizatorzy nie zawsze wykazują ten sam stopień zaangażowania i poczucia odpowiedzialności.

Istnieją całe połacie programu, zwłaszcza odcinki czasowe poprzedzające wieczorny Dziennik Telewizyjny, w których rządzi niedbalstwo i bezkoncepcyjność. Program w tych porach jest tak poszatkowany i przypadkowy, że trudno dopatrzyć się w nim jakiejś generalnej myśli porządkującej czy selekcjonującej. Kiedyś wysuwałem na tych łamach propozycję, by oprócz redakcji merytorycznych, odpowiedzialnych za pewne ciągi programowe powtarzające się periodycznie, czy z pewną regularnością, stworzyć redakcję programową dla poszczególnych dni. Nie komórkę koordynującą, która ze zgłoszeń redakcji składa mechanicznie, jak z klocków, niespójną całość, ale organ mający prawo odrzucić słabą pozycję programową i odpowiedzialny całościowo za treść, formę i dobór emisji w danym dniu.

To byłaby propozycja numer jeden. Druga sugestia jest trudniejsza w realizacji, ale warto ją rozpatrzeć w kategoriach ratowania programu przed sztampą. Nie może być dobrze, gdy wąskie i niezmienne grupy ludzi latami całymi mają monopol na autorstwo określonych pozycji programowych, zwłaszcza typu magazynowego. Potworzyło się tu i tam trochę klanów zainteresowanych wyłącznie forsowaniem własnej twórczości, a najgenialniejsi nawet ludzie nie są w stanie dostarczać wyłącznie produktu najwyższej jakości.

Należałoby się bacznie przyjrzeć niektórym kapliczkom i dążyć do stworzenia warunków, w których dostęp na antenę miałyby na zasadzie „zielonego światła" wszelkie dobre pomysły, nie tylko te zrodzone w gronie etatowego sztabu redakcji.

Te parę uwag kreślę w klimacie, gdy w całym kraju dyskutuje się nad odnową.

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

EWA NURCZYŃSKA

Film społeczno-polityczny

(II OGÓLNOPOLSKI PRZEGLĄD)

Charakter i przebieg II Ogólnopolskiego Przeglądu Filmów Społeczno-Politycznych świadczy, że Łódź otrzymała stałą i ważną imprezę. Cechą podstawową Przeglądu jest, w najlepszym tego słowa znaczeniu, jego użytkowy charakter, łączący okazję prezentacji corocznego dorobku polskiego krótkiego metrażu w jego nurcie społecznych i politycznych tematów i zaangażowań z możliwością społecznego sondażu opinii i zapotrzebowań. Ważnym i zapewne stałym elementem tej imprezy jest jej część sympozjalna, obejmująca rozważania na temat właściwego wykorzystania filmu w najróżniejszych dziedzinach życia społecznego, określa je zaś udział w Przeglądzie i sympozjum aktywu ośrodków partyjnych, nauczycieli, działaczy społecznych i kulturalnych, a także filmowców i pracowników pionu rozpowszechniania. Ten zespół ludzi decydować bowiem winien o tym, by film dysponujący ogromną siłą oddziaływania istotnie stał się świadomie wykorzystywanym środkiem popularyzacji wiedzy i kultury, środkiem kształtowania postaw politycznych, społecznych, moralnych.

Tegoroczny Przegląd odbywał się w okresie przedzjazdowej dyskusji, warto więc zwrócić uwagę na fakt, iż tym samym stał się jednym z ważkich w tej dyskusji argumentów. W Wytycznych na VI Zjazd partii wiele uwagi poświęca się problemom doskonalenia metod i form pracy agitacyjnej i propagandowej — filmu z rozważań tych wyłączyć nie sposób. Natura filmu sprawia, iż siła jego oddziaływania na ludzką świadomość, a co za tym idzie jego efektywność jest ogromna. Faktem jednak również jest i to, że nie zawsze, w różnych dziedzinach naszego życia społecznego, film bywał świadomym narzędziem owego oddziaływania, rzadko również bywał świadomie wybraną i wykorzystywaną pomocą dydaktyczną. Film w rękach nauczycieli, instruktorów szkolenia partyjnego, działaczy politycznych i społecznych, pracowników kultury, to nie kwestionowane dziś przez nikogo możliwości. Otwarte pozostają jednak pytania, zarówno o filmy dobre, o szeroki ich wachlarz tematyczny, jak i o właściwe formy metodyczne ich wykorzystania, inne przecież w klasie szkolnej, inne w szkoleniu partyjnym, inne wreszcie w różnych formach działalności oświatowej czy kulturalnej. Przed teoretykami i praktykami edukacyjnej i wychowawczej działalności współczesność nie postawiła zadań ułatwionych. Walka o poziom wiedzy społeczeństwa oraz rozwój nauki równoznaczne są z rozwojem społecznym i ekonomicznym, a procesy kształcenia pozostają w nierozerwalnym związku z procesami wychowywania i kształtowania postaw ideowych.

Wielką szansą łódzkiego Przeglądu jest konfrontacja tego, co kinematografia polska proponuje, z tym, czego od niej oczekują ludzie filmy te włączający w swą zawodową czy społeczną działalność. Szansa ta może zarówno określać przyszłość filmu społeczno-politycznego, jak i decydować o najwłaściwszym jego wykorzystaniu. Roboczy charakter łódzkiej imprezy określa, poza sympozjalną jej częścią, również sam program Przeglądu. Prezentowane filmy zgrupowano w czterech cyklach tematycznych, określających zarówno główne kręgi prac i zainteresowań polskich realizatorów filmowych, jak i możliwości wyboru filmów dla określonych potrzeb odbiorców: „Z historii polskiego ruchu rewolucyjnego", „Z problemów budowy socjalizmu w Polsce", „Z filmowej publicystyki społecznej w latach 1970—71", „Świat współczesny — konfrontacje i problemy". Pokazy filmów, jak i referaty doc. Jerzego Kotowskiego, rektora PWSFTiT pt. „Oddziaływanie filmu społeczno-politycznego" i doc. dra Norberta Kołomyjczaka pt. „Uwagi na temat aktualnego stanu filmów historycznych i możliwości ich wykorzystania w pracy propagandowo-szkoleniowej" poprzedziły dyskusje o merytorycznych i organizacyjnych problemach wykorzystania filmów społeczno-politycznych.

Tegoroczny Przegląd dowiódł, iż hasło: Film społeczno-polityczny — jest hasłem ogromnie pojemnym, otwierającym szerokie możliwości jego praktycznego wykorzystania, zwłaszcza przez partyjne ośrodki propagandy, WUML i szkolnictwo. Jednocześnie jednak dowiódł, że istnieją pewne niedostatki w programowaniu tych filmów, iż niektóre rejony tematyczne nie doczekały się jeszcze swych filmowych opracowań. Zwróćmy tu na przykład uwagę, iż na 100 powstałych w ciągu dwóch dziesięcioleci filmów historycznych, aż 50 proc. obejmuje problematykę wojny i okupacji, że mało filmów obejmuje dzieje ruchu rewolucyjnego do 1918 roku, zbyt mało jest filmów biograficznych, a wiele filmów dotyczących pierwszych lat powojennych, to filmy dziś już stare, często zdezaktualizowane. Zważywszy zresztą stosunkowo szybki proces deaktualizacji filmów społeczno-politycznych, wynikający z rozwoju wiedzy historycznej i zmian w sytuacji politycznej, wymaga dziś sensownej weryfikacji wielu filmów, które proponują działaczom i nauczycielom katalogi „Filmosu". Zagadnienie programowania filmów społeczno-politycznych łączy się dziś ściśle ze wzrastającą rolą telewizji, a także i z pewnym nieuniknionym konfliktem między szybką aktualnością programów TV, a wolniejszym procesem powstawania filmów — musi się tu zatem zrodzić pewna wspólna dla obu środków masowego przekazu koncepcja programowa.

Zarówno tegoroczny przegląd, jak i przedstawione przez poszczególne wytwórnie (WFO, WFD, „Czołówkę"), a także Telewizję, plany repertuarowe na najbliższy rok świadczą, że realizatorzy pozostają nadal w kręgu tematów mieszczących się w zaproponowanych przez Przegląd cyklach, ale jednocześnie i o tym, że zarówno między kinematografią i TV, jak i między poszczególnymi wytwórniami brak pewnych programowych porozumień. W dyskusji podkreślono, iż istnieje niezbędna dziś potrzeba, by przy planowaniu produkcji sięgać do obowiązujących programów szkolenia partyjnego i nauczania w szkołach. Zostawiono jednak również znaczny margines swobody, poszukiwań i realizacji dla twórców, postulując przy tym jednak model reżysera — polityka i twórcy zaangażowanego. Głosy wyrażające troskę o film społeczny i polityczny, który legitymuje się nie tylko wysokimi walorami ideowymi i dydaktycznymi, ale również artystycznymi, dominowały w wypowiedziach dyskutantów. Martwić musi w obecnym stanie filmowych propozycji i w planach przyszłościowych brak filmów, których bohaterami byliby ludzie młodzi, a tematem — ich postawy i problemy. Przecież to oni w ogromnym stopniu są adresatami tych filmów. Na filmy przysparzające moralnych i obywatelskich wzorców, a związanych bezpośrednio z najbliższą nam współczesnością ciągle jeszcze czekamy.

Nie można wśród tych krótkich uwag poczynionych na marginesie łódzkiego Przeglądu nie wspomnieć jeszcze o jednej sprawie, przez jego uczestników mocno podkreślanej: potrzebie pełnej informacji o filmach dobrych i niezbędnych w pracy partyjnej i szkolnej, o potrzebie opracowań materiałów metodycznych, o konieczności zwiększenia ilości projektorów w ośrodkach partyjnej propagandy, a także zwiększeniu ilości kopii filmowych i usprawnieniu metod rozpowszechniania.

Za najwybitniejsze filmy tegorocznego przeglądu uczestnicy uznali tytuły następujące: „OJCOWIE I DZIECI" J. Łomnickiego, „KORKOCIĄG" M. Piwowskiego, „BERLIN ZACHODNI" J. Dmowskiego i „SIOSTRY" B. Sokolenko.

Kto, co, kiedy?

relacje

niedyskrecje

FUTUROLOGIA SPRZED 87 LAT

Któż nie lubi wyobrażać sobie jak będzie wyglądał świat w przyszłości np. za tysiąc czy dwa tysiące lat. W petersburskim dzienniku „Wsiemirnaja iljustracija" z roku 1884 ukazał się m. in. artykuł z ilustracjami, gdzie w formie zabawnej podane są przewidywania jak będzie wyglądał świat za lat tysiąc to jest w roku 2884. Od ukazania się tego artykułu upłynęło zaledwie 87 lat, a już możemy stwierdzić, że rzeczywistość w zakresie zwłaszcza osiągnięć technicznych, znacznie przeszła ozekiwania i wyobrażenia futurologów z roku 1884. Słusznie przewidziano erę komunikacji lotniczej, ale jakże dziwacznie i prymitywnie. Oto przewidziano, że lotnictwo rozwiąże balony napełnione gazem lżejszym od powietrza, a te pojazdy będą miały kształt ryb. Ich ogony miały być sterami. Owe maszyny latające zaopatrzone są w rodzaje błotników, nie posiadają natomiast zabezpieczenia od skutku wiatrów. Domy w roku 2884 miały mieć aż... dwanaście pięter, ale na wyższe piętra można by się było dostać jedynie drogą lotniczą. Natomiast dość prawdopodobnie, jeśli chodzi o nasze przynajmniej czasy, udało się 87 lat temu przewidzieć styl ubierania się, a więc krótsze spódniczki pań i dość „gimnastyczny" nieraz sposób tańczenia.

ILE WŁAŚCIWIE DZIEŁ STWORZYŁ PICASSO?

Ile właściwie dzieł stworzył dziewięćdziesięcioletni już dziś Pablo Picasso? Na to nielatwe pytanie próbuje odpowiedzieć paryski tygodnik „L'Express". Oczywiście nikt nie jest w stanie odpowiedzieć precyzyjnie. Ilość tych dzieł jest po prostu olbrzymia. Picasso jest najbardziej płodnym artystą wszystkich czasów. Obliczono jednak, że między rokiem 1892 a 1962 Picasso stworzył 11.094 obrazy i rysunki. Do tego należy dodać dzieła z ostatnich dziewięciu lat — około 2.000 — a wtedy mielibyśmy liczbę 13 tysięcy obrazów i rysunków. Nie jest to jeszcze wszystko. Trzeba dodać jeszcze 100.000 sztychów, 34.000 ilustracji do książek oraz około trzystu rzeźb i obiektów ceramicznych. Ponieważ nikt nie wie ile artysta przechowuje dzieł u siebie, przypuszcza się na ogół, że stworzył ich dotąd około 200.000.

Znaczna część najwybitniejszych dzieł Picassa znajduje się w muzeach, m. in. amerykańskich. Leningradzki Ermitaż posiada ponad 50 obrazów, z dość wczesnego okresu, bo zakupionych przed 1914 rokiem przez rosyjskich kolekcjonerów Morozowa i Szczukina.

Część swoich obrazów zatrzymał u siebie Picasso, lecz ich liczba nie jest znana. Czasami odkupywał własne obrazy, zwłaszcza o tematyce „rodzinnej", a więc portrety kobiet, które kochał, swoich dzieci oraz o ulubionej przez siebie tematyce jak „Malarz i jego modelka", pewne rodzaje martwych natur itp.

Jakie ceny osiągają dzieła Picassa? I na to pytanie próbuje odpowiedzieć tygodnik „L'Express". Na ogół wszystkie dzieła Picassa są bardzo wysoko notowane na światowych rynkach sztuki. Jego obrazy najbardziej poszukiwane i najrzadsze osiągają oczywiście największe ceny. Są to przede wszystkim dzieła z okresu kubizmu, z lat 1907—1917. Wysoką wartość mają również płótna z tzw. okresów różowego i niebieskiego (1901—1906). Rekord w tej dziedzinie zdobył obraz

Pablo Picasso — Arlekin (1923)

pt. „Macierzyństwo na brzegu morza", sprzedany w Nowym Jorku w roku 1968 za 2.555.500 franków. Autoportret Picasssa z roku 1901 sprzedano w zeszłym roku w Londynie za sumę 1.793.154 franki. Z obrazów kubistycznych zapłacono w grudniu ubiegłego roku 1.250.000 franków za „Butelkę rumu" namalowaną w roku 1911. Niektóre obrazy Picassa mają tendencję do stałego i poważnego zwyżkowania w cenie. I tak np. „Martwa natura z kielichem" kilkakrotnie odprzedawana od roku 1932 w roku 1960 została sprzedana za cenę 36.032 franki, w cztery lata później osiągnęła 100.875 franków, a w roku 1970 została sprzedana za 107.600 franków. Rysunki Picassa budzą coraz większe zainteresowanie. Wystawiane ostatnio osiągały cenę od 30 do 60 tysięcy franków, ale pewien portret rysowany w roku 1919, a sprzedany niedawno w Londynie osiągnął cenę 165.435 franków. Grafiki Picassa mają mniej więcej ustaloną cenę w ciągu ostatnich dziesięciu lat. Żadnego z tych dzieł nie można kupić taniej niż za 2.000 franków, większość kosztuje jednak ponad 10.000 franków za egzemplarz. Niektóre wyjątkowo osiągają cenę ponad 200 tysięcy franków jak np. portret Dory Maar sprzedany za 266.500 franków.

NIŻYNSKI BOŻY KLOWN

Kim był Wacław Niżynski? Co o nim wiemy? Był tancerzem, który zdobył światową sławę w słynnym rosyjskim balecie Siergieja P. Diagilewa.

Wacław Niżynski urodził się w Kijowie w roku 1890, zmarł w obłąkaniu w Londynie w roku 1950. On to głównie wsławił balet Diagilewa. Niżynski, „boży klown", jak sam siebie nazywał, w ciągu ośmiu lat, od roku 1909 do 1917, święcił, jak nikt w owym czasie, triumfy choreograficzne na scenach Europy i Ameryki. O dalszych jego dziejach dowiadujemy się głównie z jego pamiętników, które po sobie pozostawił. Od rozejścia się z Diagilewem i czasu opętańczej miłości do kobiety z którą się ożenił, rozpoczyna się tragiczny upadek kariery Niżynskiego, zanik talentu choreograficznego, tragizm losu tego genialnego tancerza i wreszcie śmierć w pomieszaniu władz umysłowych.

„Nijinsky-Clown de Dieu",

„Niżynski, boży klown" — to tytuł nowego, wielkiego widowiska baletowego Maurice Béjarta, w którym współczesny choreograf no zaznaczył się geniusz Niżynskiego, a jego klęska artystyczna i życiowa staje się symbolicznym obrazem wygnania genialnego tancerza z raju tańca i to z winy kobiety.

To najnowsze widowisko choreograficzne Béjart wystawił w Brukseli, gdzie w ciągu dwóch tygodni spektakl każdorazowo ściągał po pięć tysięcy widzów. W balecie „Nijinski-Clown de Dieu" bierze udział osiemdziesięciu tancerzy z samym Béjartem na czele. Muzykę, bardzo różnorodną i nowoczesną skomponował Pierre Henry, przy czym do widowiska włączono fragmenty Symfonii Patetycznej Czajkowskiego oraz mówione teksty pamiętnika Niżynskiego.

Krytyka przyjęła nowe dzieło Béjarta z ogromnym zainteresowaniem. Niektórzy z recenzentów twierdzą, że jest to najlepszy balet jaki kiedykolwiek był dziełem słynnego Béjarta. Inni zarzucają twórcy, nadmiar obrazów scenicznych, zbyt skomplikowaną symbolikę, co nieraz sprawia, że treść widowiska traci na klarowości. Wszyscy jednak stwierdzają zgodnie, że „Nijinski-Clown de Dieu" jest bezsprzecznie dziełem o olbrzymim ładunku zarówno emocjonalnym, jak estetycznym i intelektualnym.

Scena z widowiska baletowego Bejarta — „Niżyński, boży klown".

oddaje hołd zwycięskiej miłości, umiłowaniu pokoju, potędze uczucia górującego nad słabością umysłu. Inspiracją dla niezwykle oryginalnego potraktowania tematu stał się dla Béjarta pamiętnik i dzieje losów Wacława Niżynskiego.

Przeplata się tu wiele symboli choreograficznych, wiele elementów muzycznych, mnóstwo wątków ze scen baletowych zespołu Diagilewa, gdzie tak mocno zaznaczył się geniusz Niżynskiego, a jego klęska artystyczna i życiowa staje się symbolicznym obrazem wygnania genialnego tancerza z raju tańca i to z winy kobiety.

Rys. Assen Grosev

Bez strachu

RĘCE I DUSZE

Kawa — duża, mocna — filiżanka trzymana w ręce, która drży. Trzymamy w rękach widelce, noże, szklanki herbaty, kładziemy ręce (wtedy nazywamy je dłońmi) na czyimś czole, by zbadać gorączkę. Jesteśmy (my ludzie) całością o wielu miliardach rąk, rąk przepaściście różnych. Słyszałem o trzech, czterech ludziach, którzy mieli jedno serce, jedną duszę, ale ręce mieli różne i różne nogi, dlatego rozeszli się — każdy w inną stronę. Trudno powiedzieć, co się stało z ich wspólną duszą i wspólnym sercem. Kiedy wieczorem kładę się do łóżka, kładę na zimnej ścianie ręce z rozstawionymi palcami. Te ręce są jednostkowe, tylko moje, niepowtarzalne — nigdzie nie ma takich rąk, nigdzie „gdzie indziej". A dusza... patrzę w ciemność i myślę, że moja dusza jest powtarzalna, banalna, standardowa, dusza niejako konfekcyjna. Być może niejeden już korzystał z mojej duszy i znudzony porzucił ją w rupieciarni, a potem wtłoczono ją we mnie. Bezgraniczna banalność mojej radości i mojej rozpaczy, tak to wszystko było i jest przeżywane w tym samym kształcie. Zasypiam i śnię o dłoniach, o pożarze rąk, zamiast palców mam płomienie. Szukam w przestrzeni mego snu wody lub lodu. Budzę się z tryskającymi iskrami i przez sen jak stwierdzam, trzymałem ręce na innej ścianie. Wielu tak śni jak ja — można opisać kopami sny o płonących dłoniach. Ale teraz, po obudzeniu stwierdzam, że moje ręce nie są spopielałe, są jedyne w kształcie i odczuciu na ścianie. Nikt nie ma takich rąk, jak ja. Ponieważ wielu miało i ma dusze takie, jak moja zatem dusza moja nie zna samotności, przeciwnie, dręczy ją nadmiar krewniaków i sobowtórów. Natomiast moje ręce są beznadziejnie samotne, splecione we własnym, tylko własnym trwaniu. Moja dusza w czasie snu nigdy nie wędruje w poszukiwaniu towarzysza lub towarzyszki, ręce szukają zawsze rąk innych, niepodobnych. Oto budzę się — jest noc, ręce, które w śnie tej nocy nie płonęły, szukają ludzkich rąk i natrafiają na ścianę. „O Boże, Boże" mówię bardzo cicho, ale to już głos mojej duszy, głos milionów dusz ludzi obudzonych w nocy z rękami na ścianie. Miałem kiedyś Mistrza. Mistrz powiedział: pamiętaj, literatura jest zakonem o najsurowszych regułach. Jeżeli zaufasz Sztuce, musisz być samotny. Mistrz głosił błędną naukę, wcale nie jestem samotny, jestem odciśnięty w milionach dusz i wielu jest odciśniętych we mnie. Chodzę po ciemnym pokoju i mówię „O, Boże, Boże" i wiem, że miliony na obu półkulach tak chodzą i tak myślą. Wszystko, co pomyślę, co wyszepcę, co powiem, co napiszę, jest powieleniem rzeczy już powstałych. Wtedy osaczony przez podobne mniemanie, wyciągam przed siebie w ciemności moje niepowtarzalne ręce i kładę je na zimnej ścianie.

BERNARD SZTAJNERT

OD NIEDZIELI DO NIEDZIELI

ENCYKLOPEDIA

KRĄG WYKSZTAŁCENIA — „KOŃ, JAK JEST..." — WIELKA, MAŁA I ŚREDNIA — CZY NAKŁAD WYSTARCZY? — NIEMOC POLIGRAFICZNA — TO NIE CZASY GLOGERA! — LEKSYKONY SPECJALISTYCZNE — CIESZ SIĘ Z MANKAMENTÓW.

Niedawno jeden z czytelników nazwał mnie w liście do redakcji — „encyklopedystą". Tak mnie to wzruszyło, że postanowiłem napisać felieton o encyklopediach.

Oczywiście sięgnąłem do trzeciego tomu Wielkiej Encyklopedii Powszechnej, aby przeczytać stosowne hasło. Otóż więc tytułowe słowo wywodzi się z greckiego „enkyklios", czyli tworzący krąg całkowity — „paideia" zaś oznacza wykształcenie. Tak więc mamy już podbudowę naukową. Dodam jeszcze, że pierwszą polską encyklopedią były „Nowe Ateny", księdza Benedykta Chmielowskiego — dzieło sławne, lub raczej osławione, wydane we Lwowie w 1745 roku.

Księgę Chmielowskiego czyta się dziś z rozbawieniem, ale też nieraz podziwiamy w niej wzruszającą zwięzłość i swoistą logikę. Pod hasłem „Koń" ksiądz Chmielowski pisze na przykład — „koń jaki jest, każdy widzi". I kropka. Słusznie, po cóż się rozwodzić, skoro konia każdy widział. Sporo natomiast miejsca poświęca osiemnastowieczny encyklopedysta opisom zwierząt, które... nigdy nie istniały.

Wróćmy jednak do współczesności, bo zapotrzebowanie na ów „całkowity krąg wykształcenia" ciągle w Polsce rośnie i każde wydanie każdej encyklopedii sprzedawane jest, właściwie, spod lady. Jak dotąd mieliśmy już Małą Encyklopedię Powszechną oraz Wielką. PWN wziął się więc za wydanie encyklopedii średniej — czterotomowej, a więc względnie taniej, dostępnej dla szerokich kręgów odbiorców.

Nowa edycja encyklopedyczna przewidziana jest na lata 1973—1977 — całość kosztować ma 1200 zł. Jak to już tradycyjnie w wypadku encyklopedii bywa — nakład ustalono stosunkowo nisko, w każdym razie zbyt nisko, jak na powszechne zapotrzebowanie. Trzysta tysięcy egzemplarzy znów pójdzie spod lady. Powtarza się więc po raz trzeci nakładowy błąd. Mała pociecha, że czterotomową encyklopedię wznawiać się będzie co pięć lat w wersjach uaktualnionych. Mała pociecha, bo owe plany wybiegają już daleko w lata osiemdziesiąte, a zapotrzebowanie na encyklopedie istnieje dziś i nie od dziś.

Na pytania, dlaczego nie wznawia się, gotowej przecież, trzynastotomowej WEP, której ceny w antykwariatach skaczą w górę — wydawcy odpowiadają przy pomocy argumentu niemocy poligraficznej i trudności redakcyjnych. Pewno to wszystko prawda, ale owa „średnia, powszechna, uniwersalna", licząca cztery tomy będzie zaledwie o 600 złotych tańsza od Wielkiej, liczącej trzynaście tomów. Ktoś złośliwy mógłby pomyśleć, że wydawca zmienia etykietkę, aby podbić cenę i zarobić na chwalebnym zainteresowaniu czytelnika. Oczywiście byłoby to pomówienie złośliwe, bowiem wszelkie współczesne przedsięwzięcia edytorskie w zakresie encyklopedii są niesłychanie kosztowne. To już nie te czasy, kiedy Zygmunt Gloger właściwie sam napisał „Encyklopedię staropolską" i jeszcze miał czas napisać i wydać m. in. „Geografię historyczną ziem dawnej Polski", „Rok polski w życiu, tradycji i pieśni", czy „Księgę rzeczy polskich" — prace niezastąpione do dziś.

Dziś Redakcja Encyklopedii i Słowników PWN liczy setki pracowników, współpracowników i konsultantów, co, jak wiadomo, gwarantuje całkowitą fachowość i kompetencję. Choć, oczywiście przed błędami — jak wiemy — nie chroni, niestety.

Dziś zresztą niemożliwe są żadne „Nowe Ateny", zawierające wszystko. Dlatego PWN przygotowuje także leksykony specjalistyczne. Na przykład trzytomową „Encyklopedię fizyki", „Słownik biograficzny teatru polskiego", „Encyklopedię ONZ", „Słownik zawodów" oraz — absolutna nowość — „Leksykon PWN".

To ogromne wydawnictwo uniwersalne będzie czymś w rodzaju Larousse'a. Trzysta sześćdziesiąt arkuszy wydawniczych — compendium wiedzy z wszelkich dziedzin nauki, kultury, polityki i gospodarki. „Leksykon PWN" zawierać będzie około 90 tysięcy krótkich haseł rzeczowych i słownikowych. Boję się, że nakład znów okaże się za mały.

Przyznaję jednak, że o wiele optymistyczniej jest biadać nad faktem sprzedawania spod lady encyklopedii, niż narzekać na to, że zalegają one magazyny i półki księgarń. Jak więc widać, przy odrobinie dobrej woli można się cieszyć nawet z mankamentów.

JERZY WIDOK

SAM S. TAYLOR

Łóżko generała

Klientka, która od kilku minut siedziała w moim gabinecie, była młodą i bardzo ładną kobietą.

— Czy to coś poważnego? — zapytałem.

— O, nie. Po prostu chciałabym odnaleźć moją ciotkę, żeby ją odwiedzić. Mogłabym sama się tym zająć, ale nie mam czasu, za tydzień muszę wrócić do Nowego Jorku, gdzie rozpoczynam nową pracę.

Wziąłem notes, aby poczynić zapiski. — Przepraszam, pani nazwisko?

— Vivian Lindsay.

— A ciotki?

— Emmet Eunice Sigsbee.

— Wiek?

— Osiemdziesiąt lat.

— Gdzie mieszkała, gdy pani miała od niej ostatnie wiadomości?

— Ostatni raz widziałam ją dwadzieścia lat temu. Lecz moja przyjaciółka natknęła się na panią Sigsbee przed kilkoma miesiącami i dała mi ten adres.

— Granby Street 57 — przeczytałem. — Bay Shore. To jest nad morzem. Czy pani tam była?

— Telefonowałam. Powiedziano mi, że to jest pensjonat, że niedawno zmieniła się właścicielka i że pani Sigsbee tam już nie mieszka.

— Zajrzę do pensjonatu jeszcze dzisiaj. Ale gdzie mam przesłać wiadomości?

— Mieszkam prywatnie u znajomych, nie mogę ich krępować. To raczej ja poszukam pana. A teraz muszę się pożegnać.

Dom na Granby Street był czteropiętrowy. Wszedłem do wnętrza. Młody Filipińczyk czyścił zniszczony chodnik. Zapukałem do drzwi z metalową tabliczką „Dyrekcja". Pokazała się cierpka twarz właścicielki domu. — Tak? — zapytała tonem pozbawionym życzliwości.

— Przepraszam bardzo, szukam pani Emmet Sigsbee.

— Co? Jeszcze jedna osoba jej szuka! Nie wiem, gdzie się wyprowadziła! — To mówiąc zatrzasnęła za sobą drzwi.

Wyszedłem strapiony na ulicę. Dogonił mnie Filipińczyk. — Proszę pana, ja panu pomogę!

Zatrzymałem się. Chłopak mówił szybko: — Znałem panią Sigsbee. Przychodził do niej często pan Kessler, mieszka tu niedaleko. Tam w tym szarym domu nad morzem. Może on zna jej adres.

Dałem mu pięć dolarów i poszedłem w kierunku morza. Drzwi domu były uchylone. — Czy można wejść? — zapytałem mężczyznę siedzącego na zniszczonym tapczanie.

Wzruszył ramionami. — Dlaczego by nie? Proszę! — Wskazał mi krzesło. — O co panu chodzi?

— Szukam mojej ciotki, pani Sigsbee. Chciałbym się dowiedzieć, gdzie teraz mieszka. Podróżowałem, nie widziałem jej od kilku lat, a...

— Pańska ciotka? — przerwał Kessler. — Niech pan te bajki opowiada komu innemu. Emmet Sigsbee powiedziała mi, że wszyscy jej krewni rodzaju męskiego nie żyją.

— No dobrze, dobrze. Nie znam pani Sigsbee, lecz jestem detektywem i szukam jej dla kogoś.

Wyjąłem swój bilet wizytowy i podałem mu. — Moja klientka jest jej siostrzenicą i przejeżdżając przez Hollywood chciałaby zobaczyć się z ciotką.

— Hm... A jak się nazywa ta siostrzenica?

— Vivian Lindsay, aktorka z Nowego Jorku.

— Nie znam tego nazwiska. Jak ona wygląda?

Opisałem Vivian pokrótce i dodałem: — Posiada na policzku małą bliznę w formie półksiężyca.

Przez chwilę wydawało mi się, że Kessler drgnął. Pochylił się do przodu i zgniótł w popielniczce papierosa.

— Moja informacja będzie pana kosztowała pięćdziesiąt dolarów.

Podałem mu kilka banknotów.

— Proszę przyjść wieczorem około 22, otrzyma pan adres, muszę tylko coś zbadać...

Resztę popołudnia spędziłem na plaży, potem byłem w kinie. O 21 pojechałem do Kesslera. Lecz przyszedłem za późno. Leżał twarzą do podłogi, w jego plecach sterczał nóż i sączyła się strużka krwi. Ogarnął mnie lęk, nie chciałem mieć do czynienia z policją Bay Shore! Należało jednak rozejrzeć się, czy nie ma gdzieś adresu pani Sigsbee. Na biurku wśród papierów znalazłem notes, a w nim pod literą „S" poszukiwany adres. Zapisałem. Wychodząc z mieszkania zauważyłem obok trupa pudełko zapałek ze złoconym napisem: „Club Belmonti". Wsunąłem je do kieszeni...

Następnego dnia około godziny 9 weszło do mego biura dwóch mężczyzn. — Porucznik Harlow, a to sierżant Fayne — przedstawił się jeden z nich pokazując legitymację. Potem usiadł w fotelu i zapytał: — Co panu wiadomo o człowieku który nazywa się Kessler?

— Kessler? Zdaje się, że gdzieś słyszałem to nazwisko.

— A może to panu odświeży pamięć? — rzekł porucznik wyjmując z kieszeni białą kartkę, którą położył na biurku.

Ależ tak! Miałem ich pełne pudełko w szufladzie! — Rozdaję dość dużo biletów — zauważyłem — trzeba dbać o własne interesy.

— Czy ma pan zwyczaj rozdawać wizytówki także w kostnicy?

— Co to ma znaczyć?

— Właśnie tam znaleźliśmy tę kartkę w kieszeni Kesslera. I chciałbym wiedzieć, co pan ma z tym wspólnego.

— A więc dobrze: szukałem adresu ciotki mej klientki. Powiedziano mi, że Kessler zna ten adres. Wczoraj poszedłem do niego i przedstawiając się podałem wizytówkę.

— Jak się nazywa klientka i ta ciotka?

— Nie mogę powiedzieć, tajemnica zawodowa.

— Gdzie pan był wczoraj wieczorem?

— Przejechałem się trochę, żeby odetchnąć świeżym powietrzem.

— Może słonym powietrzem?

— Dlaczego?

— Dosyć z tym kręceniem, panie Cotten! O której godzinie powrócił pan do domu Kesslera?

Spojrzałem mu prosto w twarz: — Nie wróciłem tam wcale.

— To kłamstwo!

— Poruczniku, to jest moje biuro. Jeżeli pan ma jeszcze jakieś pytania, słucham uprzejmie, lecz oczekuję uprzejmości także i z pana strony.

Harlow zaczerwienił się z wściekłości. — Coś mi mówi, że pańska licencja detektywa niedługo straci swoją ważność. Chodźmy! — rzekł do sierżanta...

Po ich odejściu zająłem się swoimi sprawami. Dopiero dzienniki popołudniowe poinformowały o morderstwie w Bay Shore. Czytałem: „Jeden z podejrzanych o udział w rabunku koło Kittridge, Jake Kessler, został zamordowany w swoim mieszkaniu. Kessler — to jeden z trzech oskarżonych, którzy skradli koperty z wypłatą 200.000 dolarów przeznaczonych dla pracowników Towarzystwa Lotniczego. Na rozprawie sądowej został zwolniony z braku dowodów, podczas gdy dwaj inni — Walter Bronson i Tom Cusso — zostali skazani na długoletnie więzienie. Cusso zmarł trzy miesiące temu. Między osobami obecnie badanymi jest także prywatny detektyw Neal Cotten, który chwilowo nie został zatrzymany".

Oceniłem finezję ostatniego zdania: Harlow chciał mi dać do zrozumienia, że nad moją głową wisi miecz.

W innej gazecie zainteresowała mnie pewna wzmianka. „...także Belmonti, właściciel nocnego lokalu, był badany po kradzieży w Kittridge, gdyż policja posądzała go, że kierował napadem. Ale nie znaleziono dowodów..."

Wyjąłem z kieszeni pudełko zapałek i przyglądałem mu się. Wtem ktoś zapukał, do biura wszedł listonosz z depeszą. Była od Vivian Lindsay: „Ofiarowano mi ważną rolę, muszę wracać do N. Jorku. Proszę nie zajmować się już szukaniem ciotki".

No i patrzcie, straciłem klientkę, ale przybyły mi kłopoty z policją! Lecz trudno, sprawa mnie już wciągnęła. Wsiadłem do wozu i pojechałem na Sunset Boulevard, gdzie mieścił się nocny lokal Belmontiego. Zatrzymałem się przed wejściem, aby obejrzeć fotografie nagich artystek. Jedna z nich, rudowłosa piękność, wzbudziła moją szczególną uwagę. Pod zdjęciem widniał napis: Lili Duveen. Ja znałem ją jako Vivian Lindsay.

We wnętrzu lokalu panowała atmosfera bezczynności, do nocnego przedstawienia było jeszcze daleko. Usiadłem przy ladzie i zapytałem kelnera: — Czy jest Pete Belmonti?

— Chyba tak, ale bardzo zajęty.

— Muszę się z nim zobaczyć, mam ważną sprawę.

— Czy może mi pan powiedzieć o co chodzi?

— Dlaczego nie: o bliski pogrzeb.

Kelner zmarszczył brwi. — Pójdę zapytać.

Po chwili wrócił. Przed nim szedł wysoki, barczysty mężczyzna, około czterdziestu lat. Zbliżył się do mnie, pokazałem legitymację detektywa.

Dokończenie nastąpi

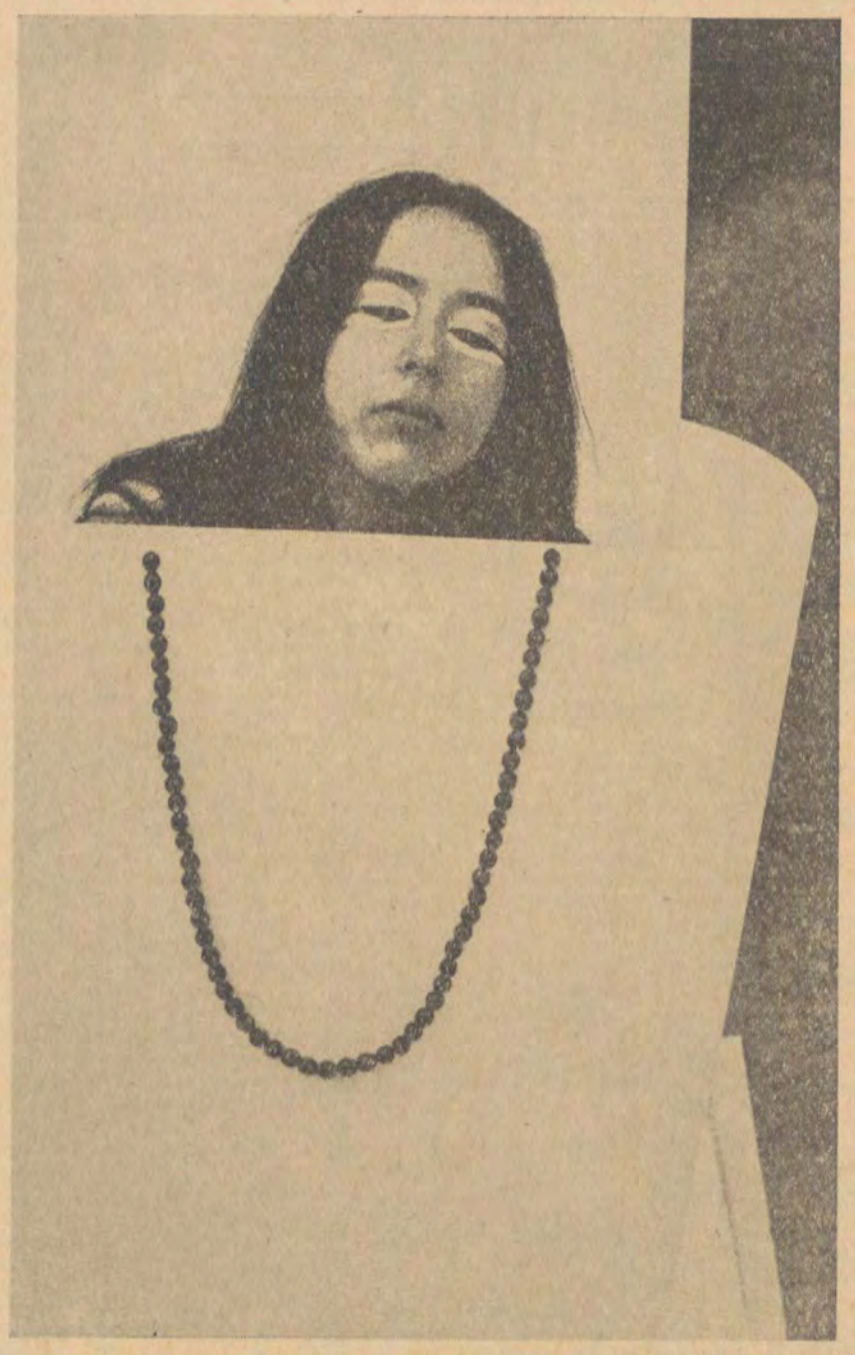

Fot. W. Prażmowski

Lewym okiem

ZALEŻY, CZYM MIERZYĆ

Czy to prawda, że w Morzu Czarnym żyją krokodyle, które od głowy do ogona mierzą pięć metrów, a od ogona do głowy — cztery?

Znacie zapewne ten dowcip i odpowiedź na powyższe pytanie: skoro od poniedziałku do soboty jest sześć dni, a od soboty do poniedziałku — trzy to dlaczegóż by nie miały istnieć tamte krokodyle?

Również i ten paradoks wcale nie jest taki całkiem w życiu niespotykany. Przecież już Einstein dowiódł, że inaczej mierzy się odległość w kierunku promienia świetlnego, a inaczej w przeciwnym, bo trzeba wziąć poprawkę na element czasu. Twierdzenie to sprawdza się dopiero na niewyobrażalnie wielkich odległościach kosmicznych, ale się sprawdza i to doświadczalnie, uchwytnie dla ludzkich, spotęgowanych odpowiednimi instrumentami, zmysłów. Natomiast w skali najbardziej dostępnej każdemu sprawdza się inny naukowy fakt, ten mianowicie, że inne są wymiary mierzone linijką ze spółdzielni „Świt", a inne — według linijki firmy „Brzask".

Pewien inżynier napisał już o tym w „Polityce": dwie metrowe (według tak zwanej metki) linijki różniły się od siebie o cały jeden centymetr, i nie wiadomo, czy jedna była za długa, czy druga za krótka. Później już było wiadomo, bo przymierzone do trzeciej linijki obie okazały się od niej krótsze. Ale może to ta trzecia była za długa, a może wszystkie trzy?

Jakże nasze mosty, maszyny i domy mają być solidne i bez niedoróbek, skoro projektanci rysują przy użyciu przyrządów, bimbających na całe centymetry, które potem stają się całymi metrami? — wołał z niewątpliwą przesadą ów inżynier. Jakże — zapytajmy od siebie już bez przesady — może wystarczyć na ubranie kupon trzymetrowy, który wystarczał przed rokiem, skoro wymierzono go miarką o trzy centymetry krótszą? Jak mogą się zamykać drzwi, jeśli futrynę robił inny stolarz, a same drzwi — inny, i obaj mieli różne miarki? Jak mogą się wkręcać żarówki, jak można ustalić swoją normę wypicia piwa, kiedy pół litra jest raz większe, raz mniejsze? Jak może dobrać właściwe, precyzyjne proporcje aptekarz, jeśli jeden gram waży u niego jedenaście miligramów, a drugi — dziewięć?

Pewnie, że niepotrzebna jest taka sama dokładność przy ważeniu ziemniaków, jak przy ważeniu arszeniku. Ale wracając do przykładu zwyczajnych, poczciwych linijek z podziałką centymetrową, nie wiadomo przecież, czy będą służyć słuchaczowi pierwszej klasy szkoły podstawowej do bicia koleżanki czy domorosłemu majsterkowi, któremu nijak nie chce pasować szuflada, czy innym precyzyjniejszym celom. Centymetr powinien być centymetrem, metr — metrem i basta. Skoro coraz trudniej znaleźć nam wspólne słowo na oznaczenie tej samej rzeczy, to niechże zostanie nam chociaż ten jedyny uniwersalny język: język cyfr, język układu metrycznego. Inaczej z całego naszego porządkowania rzeczywistości wyjdzie mniej więcej to samo, co z porządkowania wartości, które usiłujemy mierzyć pieniądzem, tu on sam wyczynia jako wartość porównawcza różne hołupce i wszystko staje się względne, płynne, zmienne, wrogie. Trochę jak z tymi odległościami w kosmosie: dolar pod światło, to co innego niż dolar w ciemnej bramie. Co innego w PKO, w Orbisie, w Londynie i w Nowym Sączu. Więc ile dolarów wart na przykład taki felieton?

Już nawet mniejsza o dokładność do jednego pensa...

ĆWIEK

Redaguje zespół: Jan Koprowski (redaktor naczelny), Karol Badziak (dział terenowy), Konrad Frejdlich (dział publicystyki), Roman Łoboda (kier. działu literackiego), Andrzej Makowiecki (dział reportażu), Celina Paluch (redaktor techniczny), Włodzimierz Stokowski (zastępca redaktora naczelnego), Jerzy Wilmański (dział kulturalny), Teresa Wojciechowska (sekretarz redakcji). Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa" w Łodzi. Adres redakcji, ul. Piotrkowska 96, telefony: 244-79, 217-98 oraz 293-00 wew. 29, 39, 40, 41 i 42. Warunki prenumeraty: miesięcznie 6,50 zł, kwart. 19,50 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa", Łódź, ul. Żwirki 17. Zam. 2347 S-10